

● PROGRAM TELEWIZYJNY NA TYDZIEŃ

● Zrozumieć Boga i Rosję ● Awantura o „Kurier” ● Tam Polaki, tu Ruskie ● „Cichociemni” na Lubelszczyźnie ● Brytania dzisiaj ● Wyjechać „na papieża” ● Kto kupi trawę? ● Jubileusz Filharmonii

TYGODNIK
WSCHODNI

PL ISSN 0660-8830

Relacje

LUBLIN, 14 20.12.1989 R.

NR 48

CENA 350 ZŁ

ZROZUMIEĆ BOGA I ROSJĘ

Na zaproszenie Komitetu Wojewódzkiego PZPR przebywali w Lublinie dwaj uczeni radzieccy z Moskwy: prof. dr hab. Robert N. Engibarlan z Wydziału Ideologicznego KC KPZR i prof. dr hab. Andriej G. Zdrowomysłow, kierownik sektora w Instytucie Marksizmu-Leninizmu przy KC KPZR. W towarzystwie przebywającego na kontrakcie w Instytucie Nauk Politycznych w Lublinie, doc. dr. Walentina Siemionowa odwiedzili oni naszą redakcję. Zespół „Relacji” reprezentowali: Franciszek Piątkowski — redaktor naczelny oraz Adam Kulik, Leszek Władniowski, Janusz Wrona i Michał Zieliński. Publikujemy obszernie fragmenty interesującej, jak się nam wydaje, dyskusji o perestrojce i wzajemnych stosunkach polsko-radzieckich.

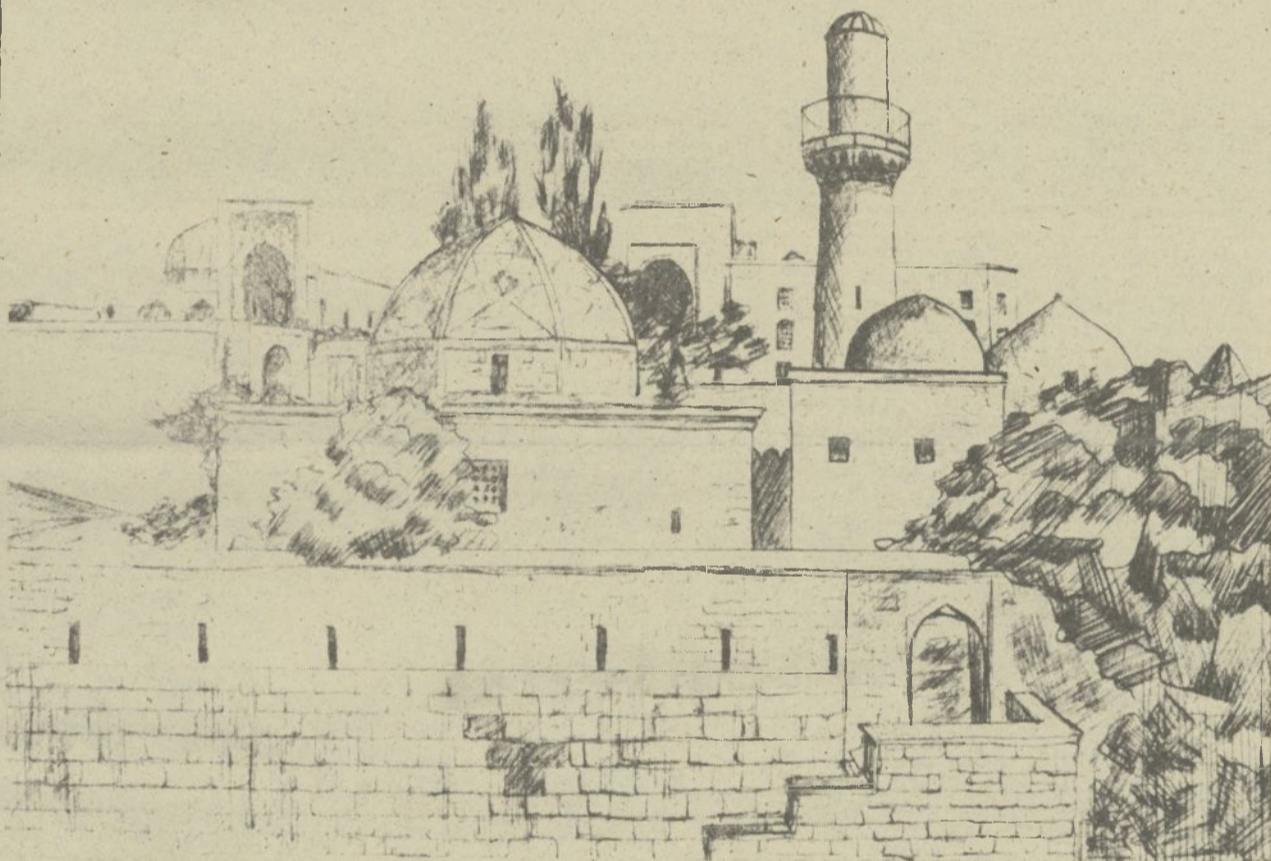
FRANCISZEK PIĄTKOWSKI: — Chciałbym poprosić panów o przedstawienie na nasz użytek waszego obrazu szans i zagrożeń perestrojki, jej następstw dla zmian we współczesnej Europie. Dla projekcji europejskiego wspólnego domu intrygujące — jak sądzę — staje się to, by zrozumieć Boga i Rosję...

ANDRIEJ ZDROWOMYSŁÓW: — To, że społeczeństwo polskie w ogólności, a wasz tygodnik szczególnie, interesuje się sprawami wschodu, tłumaczy się w myśleniu, ale chyba także językowo, iż Wschód i Odrodzenie mają jak gdyby jednakowy sens. I w tym jest głęboka symbolika. Chciałbym tu przywołać słowa poety Tiutczewa, że rozumem nie można objąć Rosji, nie zmierzy się jej żadną miarą, w Rosję można tylko wierzyć („Umom Rassiju nie paniań, arszinom obszczim nie izmierisz, u niej osobiennaja stś”, w Rassiju można tylko wierzyć”). Słowa te wypowiedziano ponad sto lat temu i choć pociągają emocjonalnie, raczej wątpliwe jest, czy można je przyjmować za współczesne credo. W dzisiejszym świecie chciałoby się, żeby rozum był wystarczającym narzędziem zapobieżenia zagładzie ludzkości. Ale nagromadziło się też niemało emocjonalnych sił i ruchów o destrukcyjnym charakterze. Stąd, w pełni naturalny zwrot ludzi ku wierze, tym więcej, że bez wiary człowiek żyć nie jest w stanie.

Moja wiara jest wiarą w człowieka, w jego potencjał intelektualny, możliwości, rozum; bez człowieka nie ma społeczeństwa. Istota naszej przebudowy polega na tym, by społeczeństwo zwróciło się ku jednostce. Chcielibyśmy zbudować demokratyczny socjalizm, socjalizm z ludzką twarzą, i ten proces zaczął się u nas w 1985 roku, nabierał siły, ale równocześnie okazało się, jak bardzo jest on złożony, ile pojawia się trudności nie do przewidzenia na początku drogi.

Główne zagrożenie perestrojki dostrzegam, to jest paradoksalne, w radykalnych przemianach naszego społeczeństwa: utrwaliła się jawność życia politycznego, pluralizm poglądów, ludzie wyzwolili się od trwałego poczucia samokontroli i strachu. Nastąpiła daleko idąca polityzacja świadomości, zwrot ku działaniom politycznym. Partia, która zainicjowała perestrojkę i głośność, sama zanurzona jest w tych procesach i one ujawniają, że KPZR pozostaje w tyle za radykalizmem społecznym i postępowaniem demokratyzacji innych dziedzin życia. Sądzę, że to właśnie stanowi główny problem: na ile partia potrafi przebudować się sama, jakie formy działa-

Dokończenie na str. 8



Pałac szirwanszacha w Baku — str. 6—7.

Rys. Małgorzata Kulik

LISTY

W kwestii ukraińskiej

„Relacje” poświęcają wiele uwagi sprawom ZSRR. To wspaniale. Jednak bardzo podobne tematy poruszają inne pisma. Dlatego proponuję, żebyście poważniej potraktowali problematykę ukraińską, która Wam powinna być bliższa niż np. piśmiom szczebińskim.

W Polsce mało wiemy o przemianach zachodzących na Ukrainie. Potrzebny jest przegląd nowych organizacji, wywiady z ich przywódcami. Wiele pism przedrukowuje artykuły z prasy moskiewskiej, żadne chyba z kijowskiej. Tymczasem na Ukrainie dużo się pisze o głodzie lat 1932—33, drukuje zakazanych dotąd autorów. Są też publikacje, z którymi należy polemizować, dotyczące stosunków polsko-ukraińskich.

Tradycyjnie, choć mniej hucznie niż kiedyś, uczono 17 września. Szczególnie wyróżnił się organ Związku Pisarzy Ukrainy „Raduga” (ukazuje się w języku rosyjskim). Wrześniowy numer tego pisma rozpoczyna się od zestawu trzech wierszy z epoki stalinowskiej pod wspólnym tytułem „Dniu temu, który doświadczył odwagi”. Takie określenie 17 września 1939 jest sprzeczne z historyczną prawdą — zdradziecki napad na samodzielną zmagającą się z hitlerowską III Rzeszą, Polskę nie był aktem odwagi.

Redakcja „Radugi” uważa zresztą obiektywną ocenę wydarzeń historycznych za „aberrację”. Stalinowskie wiersze mają przypomnieć „emocjonalną składową faktów”, „przywracać ducha czasu”. W

wierszu M. Bazana „Wezwanie” „radziecki żołnierz śpiewa „Powstańcie, których dręczy głód”, i jego pięć leci do Polski, budzi niewolników dręczonych brawym dziobem białego orla. Armie Czerwonej wita dziewczynka z kwiatem w chudych rękach. W. Sosiura w „Wyzwoleniu” pisze w natchnieniu: „Tyś swobodna, moja Ukraino, Tyś już swobodna, moja mowo”. W. Sosiura okazał się optymistą. W. Szewc („W Karpatach”) opisuje huculską chatę i otaczającą ją poloninę po wyzwoleniu od panów: „Rozstąpiły się mgły, rozjaśniło się niebo”. Autor przemilcza zalety gospodarki kolchozowej, lepiej żeby Hucul nie wiedział, co go czeka.

Jerzy Pankiewicz
Wrocław

„Czego uczono o wrześniu 1939?”

W artykule „Czego uczono...” („Relacje” nr 38) autor napisał o „zwycięstwie Bloku Demokratycznego w wyborach”. Zwycięstwo rzeczywiście było — w akcji fałszowania wyborów, natomiast nazwa Bloku Demokratycznego może być dziś używana tylko z przymrużeniem oka, gdyż, jak wiadomo, chodziło o „demokrację ludową”, czy „socjalistyczną”.

Szkoda, że w ataku na szafce stalinizmu postąpił autor (co prawda tylko w tym zdaniu) językiem stalinowskiego podręcznika.

Jerzy Pankiewicz
Wrocław

relacje

ZE ŚWIATA

● W Berlinie Zachodnim spotkali się przedstawiciele „Wielkiej Czwórki” w randze ambasadorów. Po raz pierwszy od 18 lat.

● W czasie szczytu EWG kanclerz RFN Helmut Kohl jednoznacznie oświadczył, że granice europejskie, w tym granica na Odrze i Nysie, są nie naruszalne i można je zmieniać wyłącznie na drodze traktatów pokojowych. Dopowiedział tym samym to, czego zabrakło w jego dziesięcioletnim programie zjednoczenia Niemiec. Plan ten spotkał się z chłodnym przyjęciem krajów „szesnastki”.

● Prezydent Francji Francois Mitterrand stwierdził, że żywotnym interesem państw Wspólnoty jest gwarancja zachodniej granicy Polski. W podobnym duchu wypowiedział się prezydent George Bush, mówiąc, że „Niemcy mają prawo do zjednoczenia, ale muszą respektować istniejące granice i interesy innych państw”.

● „Sprawa niemiecka — pisze „Newsweek” — to najtrudniejsza do rozwiązania zagadka dla świata okresu po zimnej wojnie. Po czyjej stronie stanie zjednoczony naród niemiecki, liczący 78 milionów? Tradycyjni rywale Niemiec w Europie Zachodniej pragnęłyby, aby państwo niemieckie stało się członkiem NATO. Związek Radziecki nigdy jednak nie zgodził się na tego rodzaju rozwiązanie. I faktem jest, że zjednoczone Niemcy jako członek NATO uzmocniłyby jedynie reakcyjne siły w Rosji i spowodowałyby powrót do zim-

nej wojny i wyścigu zbrojeń. Zjednoczone Niemcy uzbrojone, ale nie pozostające w sojuszu ani ze Wschodem, ani z Zachodem, byłyby jednakowym postrachem dla Rosjan i dla Francuzów. Jedynym wyjściem wydaje się utworzenie Niemiec związanych ekonomicznie z Zachodem, ale militarnie neutralnych i uzbrojonych jedynie w granicach potrzeb samoobrony. Czy sami Niemcy gotowi są do zaakceptowania takiego rozwiązania?”

● Na nieoczekiwanym plenum KC KPZR Michaił Gorbaczow przestrzegł Zachód, że Moskwa będzie się sprzeciwiała stawianiu kwestii niemieckiej na porządku dziennym.

● Nowym I sekretarzem Komitetu Centralnego Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności został Gregor Gysi, 41-letni adwokat berliński pochodzenia żydowskiego.

● Jedynym praktycznym rezultatem rozmów przy wschodniemieckim „okrągłym stole” było ustalenie daty wolnych wyborów na 6 maja przyszłego roku.

● Krótki był żywot rządu Ladislava Adamca. Jego następcą został dotychczasowy pierwszy wicepremier, Marian Czalfa. W nowej ekipie komunistów znaleźli się w mniejszości, po raz pierwszy od 1948 roku. Otrzymali oni 10 ministerstw, 7 tek objęli bezpartyjni, a po dwie — ludowcy i socjaliści. Pierwszym wicepremierem został znany działacz Forum Obywatelskiego Jan Carnogursky, który równocześnie sprawuje współnadzór nad „nieobsadzonym” ministerstwem spraw wewnętrznych. Gabinet został zaprzysiężony przez Gustava Husaka, który zaraz potem ustąpił ze stanowiska prezydenta Republiki. Wszystko wskazuje na to, że nowym prezydentem zostanie Vaclav Havel.

● W Sofii odbyła się kilkusetosobna demonstracja na rzecz demokratyzacji życia w Bułgarii. Domagano się usunięcia z konstytucji zapisu o kierowniczej roli partii, swobód obywatelskich i religijnych, wolnych wyborów. Człony działaczy opozycji, Nikołaj Kostylew, przemawiając w czasie manifestacji, powiedział m.in., że trzeba doprowadzić do „drugiej Norimbergi”, aby ukarać wszystkich zbrodniarzy okresu stalinowskiego. Pojawiły się transparenty: „Oszukani wszystkich krajów łącznie się!”

● W Moskwie demonstrowało kilka tysięcy zwolenników radykalnych reform, Andrieja Sacharowa i Borisa Jelcyna. Niesiono hasła: „Proletariusze wszystkich krajów wybaczenie nam!”

● „Nadszedł czas, by partia komunistyczna odeszła od całkowitego zarządzania społeczeństwem radzieckim” — powiedział główny ideolog partyjny, Wadim Miedwiediew.

● Fidel Castro powiedział, że Kuba nie odejście od socjalizmu i nie powróci do „odrażających metod kapitalistycznych”. Stwierdził też, że w jego kraju nie będą prowadzone żadne reformy polityczne czy gospodarcze. Oznajmił, że Kuba szanuje zmiany zachodzące w innych krajach socjalistycznych, ale, jego zdaniem, zmiany te są złe i społeczeństwa tych krajów zapłacą za nie w przyszłości. „Kuba nie stanie się nigdy dodatkiem do jankeskiego imperium” — oświadczył wielki nauczyciel narodu kubańskiego.

● W Pekinie przebywała delegacja rządu amerykańskiego na czele z doradcą prezydenta Busha ds. bezpieczeństwa krajowego. Tematem rozmów był m.in. maltański szczyt Bush-Gorbaczow. Jest to pierwsza wizyta w Chinach przedstawiciela cywilizowanego kraju po masakrze na placu Tienanmen.

● Na Filipinach zakończył się najdłuższy bunt wojskowy od czasu objęcia rządów przez Corason Aquino. Zginęło 95 osób, a 600 jest rannych. W dławieniu rebelii brały udział, na prośbę pani prezydent, amerykańskie myśliwce.

● W Afganistanie oznajmiono, że została udaremniiona ponowna próba obalenia rządu Nadżibullacha. Zdaniem Zachodu, informacja ta jest pretekstem do przeprowadzenia kolejnych czystek w szeregach afgańskich komunistów.

● W Moskwie zakończyła się wystawa sprzętu bojowego Armii Radzieckiej. Można było na niej kupić m.in. doskonałe transportery do rakiet SS-20.

● Brytyjskie władze Hongkongu postanowiły deportować z miasta ok. 40 tysięcy wieźniarków uchodźców.

● Organ Komunistycznej Partii Chin, dziennik „Renmin Ribao” opublikował instrukcję rządu ChRL, dotyczącą „okazywania miłości wojsku” przez obywateli. Wojsku, które pół roku temu „bohatercko” zdławiło kontrrewolucję”. Czytamy tam m.in.: „Będą się odbywały spotkania członków armii z cywilami. Specjalne delegacje ludności powinny okazywać troskę oddziałom nadgranicznym i oddziałom stanu wyjątkowego. W okresie świąt lokalne władze powinny zmobilizować ludność do oddawania usług żołnierzom. W specjalny sposób należy traktować rodziny żołnierzy”.

● Po 28 latach „powrócił” do Nikaragui legendarny dowódca partyzantki antysomozistowskiej, potem antysandinistowskiej, Eden Pastora — Commandante Zero. Pastora on wespierał w najbliższych wyborach powszechnych Partię Chrześcijańsko-Społeczną, przeciwstawiając się hegemonii Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego.

relacje

Z KRAJU

● Zakończyły się hucny w polskich więzieniach. W Goleniowie więźniowie dobrowolnie zakończyli bunt. W jednej z cel znalaziono zwęglone zwłoki. W Czarnem, Kamiensku i Nowogardzie użyto siły, milicja i służba więzienna zaprowadziły porządek. W Nowogardzie spalono trzy budynki, a w pozostałych zniszczono prawie wszystko, co nadawało się do zniszczenia. Straty sięgają kilkunastu miliardów złotych. Minister sprawiedliwości Aleksander Bentkowski stwierdził, że sprawy tych buntów i zniszczeń będą z całą bezwzględnością pociągani do odpowiedzialności. Po wcześniejszych próbach mediacji senatorów, Prezydium OKP oświadczyło, że nie widzi możliwości działań medialnych wobec zaistniałej sytuacji.

● W Warszawie odbyła się konferencja Ruchu Obywatelskiego pod hasłem „Etos Solidarności”, w której uczestniczyli m.in. Tadeusz Mazowiecki, Lech Wałęsa i Bronisław Geremek. Halina Bortnowska stwierdziła w trakcie obrad, że w działaniu „Solidarności” jest za dużo kombatantów i gadania, a za mało rzetelnej roboty. W podobnym duchu wypowiedział się też m.in. premier Mazowiecki. We wspólnym apelu skierowanym do Polaków, Geremek, Mazowiecki i Wałęsa stwierdzają m.in.: „Polska jest w potrzebie. Wspólnymi siłami musimy wyciągnąć kraj z kryzysu”.

● Zdemontowano pomnik Lenina w Nowej Hucie. Po zakończeniu konserwacji podjęta zostanie decyzja co do jego nowej lokalizacji.

● Minęła 8 rocznica wprowadzenia stanu wojennego.

● „Była późna noc 13 grudnia, kiedy zatelefonował do mnie Komendant KW MO płk Andrzejewski z poleceniem udania się do Lecha Wałęsy, który się zamknął w mieszkaniu i nie chce z nikim rozmawiać. [...] Spróbowałem rozmowy z Barcikowskim. Powiedziałem, że nie wyciągnę Wałęsę z domu, bo pójdzcie informacja w lud, że Fiszbach aresztował Wałęsę. Kazimierz Barcikowski nie przekonał nikogo, żeby odwołał rozkaz. [...] Jade do Wałęsę, Milicjantów poprosiłem, by poczekali. Dowódca odparł, że ma rozkaz. Poprosiłem go o powstrzymanie akcji i że biorę to na siebie. Wałęsa otworzył, był ubrany i bardzo skłupiony. Powiedział, że przemysłał sprawę. Wysłaliśmy, obawiając się najgorszego”. (Z wywiadu



13 XII 1981 — 13 XII 1989.

Repr. Waldemar Stępień

byłego I sekretarza KW PZPR w Gdańsku, Tadeusza Fiszbacha, dla „Konfrontacji” nr 11/23).

● Ze wspomnień Ryszarda Kuklińskiego byłego pułkownika Sztabu Generalnego LWP: „Tuż po zakończeniu rozmów [Jaruzelskiego z Rosjanami — przyp.] „Relacji” na osobiste polecenie doszczętnie zmaltretowanego gen. Jaruzelskiego, w dn. 1 grudnia 1980 r. pierw-

szy zastępca Szefa Sztabu Generalnego WP, gen. dywizji Tadeusz Hupałowski, wraz z płk. dypl. Franciszkiem Puchalą udali się specjalnym samolotem do Moskwy w celu zapoznania się ze szczegółami radzieckich planów wprowadzenia do Polski wojskowych sił interwencyjnych. [...] Pod pozorem ćwiczeń »Sojuz 81« do Polski miały być skierowane trzy radzieckie armie w skła-

dzie 15. dywizji, jedna armia czechosłowacka w składzie dwóch dywizji oraz sztab jednej armii i jedna dywizja Narodowej Armii Ludowej NRD”. (Za „Gazetą Wyborczą” nr 152).

● Z oświadczenia NSZZ „Solidarność” przy KW „Wujek” w Katowicach po wizycie prezydenta Wojciecha Jaruzelskiego: „W związku z wizytą Pana Prezydenta w naszej kopalni, chcemy wierzyć, że jest ona wyrazem Pana dobrej woli, przejawem dążenia do pomyślnego zakończenia procesu pojednania narodowego oraz do wyjaśnienia wszystkich aspektów tragedii z dnia 16.12.81, w której wskutek użycia siły przez oddziały zmilitaryzowane utraciło życie 9 naszych braci górników oraz było wielu rannych po obu stronach [...]. W związku z tym oczekujemy od Pana Prezydenta dla dobra Polski i całego narodu oraz idei porozumienia, wyjaśnienia wszystkich aspektów tej tragedii. Jednocześnie jesteśmy wdzięczni Panu, Panie Prezydencie, że raczył Pan przybyć i oddać hold naszym braciom górnikom poległym w dniu 16.12.81 podczas tych tragicznych wydarzeń”.

● „Nic, co niemieckie, nie jest nam obce” — stwierdził w wystąpieniu sejmowym minister spraw zagranicznych Krzysztof Skubiszewski.

● „Z takiej inflacji, jak nasza, wychodzi się szybko albo wcale” — powiedział w czasie przerwy w obradach Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów wicepremier Leszek Balcerowicz.

● Podczas konferencji prasowej w Gdańsku Lech Wałęsa, odpowiadając na pytanie: co dalej z reformą gospodarczą w Polsce, stwierdził m.in.: „Udowodniłem całemu światu, że Zachód chce i daje wielkie środki. Już na lotnisku, wracając z Londynu, mogłem przywieźć 10 mld dolarów. Tylko nie wiedziałem, komu je przekazać. W Polsce oceniamy dzisiaj, że gdyby był możliwy przerób, to natychmiast można by zainwestować 30 mld dolarów. Tylko, że nie ma kto tego zrobić”.

● Według danych Państwowej Inspekcji Ochrony Środowiska, liczba tonów w Polsce na skutek działania SO, siega roczną nawet 200 tysięcy. GUS ocenia roczną emisję siarki na 3312 ton.

(dw)

Z okazji 45-lecia Lubelskich Zakładów Graficznych serdeczne gratulacje towarzyszą sztuki drukarskiej składa

Zespół „Relacji”

JUBILEUSZ

Stefan Münch

KIEDY w Lublinie zaczęło się muzykować systematycznie — czyli instytucjonalnie? Jeśli wierzyć źródłom, w XVII wieku. Jednak bez szczególnych rewelacji: miasto posiadało wprawdzie wyraziście udokumentowane aspiracje kulturalne (literackie w wysokim nawet stopniu), bywało świadome europejskich nowinek, brakowało wszakże tego, co obecnie (czyli pieniędzy). Formy artystycznego mecenatu wiązały się przede wszystkim z Kościołem, poza tym Lublin nie był zbyt zasobny, brakowało rezydencji magnackich, które ściągalyby muzyków czy poetów.

Dopiero u progu XIX stulecia życie muzyczne popłynęło wartkim nurtem. Około 1816 roku założono Towarzystwo Filharmoniczne, istniała orkiestra symfoniczna i teatralna, był zespół wykonujący muzykę kościelną. W owym czasie Lublin słynął przede wszystkim za sprawą wybitnych skrzypków — Hornziela, Serwaczyńskiego, Parysa i najslawniejszego z nich Henryka Wieniawskiego. Ten znakomity wirtuoz i kompozytor, powszechnie uważany na prawowitego następcę Paganiniego, zanim został uczniem Clavella i Massarta w Conservatoire de Paris (które ukończył jako dwunastolatek), kształcił się najpierw pod kierunkiem wspomnianych lubelskich mistrzów. Jego imię otrzymała lubelska Filharmonia w 1960 roku.

Przed drugą wojną światową stałej orkiestry w Lublinie nie było. Organizowano jednak koncerty — głównie staraniem Towarzystwa Muzycznego — z udziałem m.in. Ady Sari, Artura Rubinsteina i Karola Szymanowskiego.

Natychmiast po zakończeniu działań wojennych reaktywowano wcześniejsze istniejące instytucje życia muzycznego, jak Towarzystwo Śpiewacze „Echo”, a w grudniu 1944 roku powstała Lubelska Orkiestra Kameralna, początkowo w szesnastoosobowym, później rozszerzonym składzie. Jej premierowy występ w dniu 10 lutego 1945 r. stał się momentem przełomowym, otwierającym perspektywę ku utworzeniu orkiestry stałej. Dyrygował owym koncertem założyciel zespołu, Zygmunt Szczepański, a w programie znalazły się kompozycje Bacha, Vivaldiego, Mozarta i Beethovena.

W rezultacie zaangażowania muzyków już w maju tego roku zespół kameralny mógł przybrać miano Orkiestry Symfonicznej. Po raz pierwszy wystąpiła ona publicznie 18 maja: dyrygentem był Zygmunt Szczepański, a solistą — skrzypek Stefan Rachoń, później znany mistrz batuty. Przypomnijmy program tamtego koncertu: uvertura do opery „Halka” Moniuszki, Koncert skrzypcowy d-moll Wieniawskiego, „Eine kleine Nachtmusik” Mozarta i Symfonia h-moll „Niedokończona” Schuberta.

Wkrótce orkiestra przeszła pod opiekę Towarzystwa Muzycznego, następnie stała się Miejską Filharmonią, wreszcie jesienią 1949 roku została upaństwowiona. Niebawem obok normalnej działalności koncertowej zaczęto rozwijać rozmaite formy popularyzowania muzyki w środowiskach szkolnych, akademickich i innych. Zapoczątkowano też współpracę z chórami amatorskimi, dzięki czemu możliwe stało się prezentowanie repertuaru oratoryjnego i operowego.

W ciągu czterdziestu pięciu lat istnienia Filharmonii za jej pulpitem zmienili się wielu dyrygentów i kierowników artystycznych. Przypomnijmy ich nazwiska: Zygmunt Szczepański, Adam Wyleżyński, Bolesław Kuropatnicki, Roman Mackiewicz, Felician Lasota, Robert Satanowski, Eugeniusz Dziewulski, Olgierd Straszynski, Karol Anbild, Andrzej Cwojdzinski, Franciszek Klimczak, Marian Lewandowski, Czesław Kwiecieński oraz Adam Natanek i Ryszard Komorowski. Wszyscy oni waleśnie przyczynili się do tego, że dziś lubelska Filharmonia zajmuje miejsce w czołówce polskich orkiestr.

NIEWĄTPLIWIE najciekawszy rozdział pracy zespołu stanowi ostatnie ćwierć wieku. Przed 25 laty szefem orkiestry został Adam Natanek, który ma w swym dorobku wysoko oceniane przez krytykę koncerty na estradach całej Polski i za granicą (bez mała wszystkie kraje Europy, USA, Kuba). W okresie jego dyktacji powiększył się skład orkiestry, wyrównane zostały dysproporcje pomiędzy poszczególnymi grupami instrumentalnymi, a działalność Filharmonii wzbogaciła się o nowe formy, w tym również regularne występy zagraniczne.

Artystyczny temperament i zainteresowania Adama Natanka znajdują wyraz w wielkich formach oratoryjno-kantatowych. Ich realizacja jest możliwa dzięki organizacyjnej i merytorycznej współpracy z działającymi na terenie miasta chórami amatorskimi — „Echo”, UMCS, KUL, Akademii Rolniczej, Politechniki i obu szkół muzycznych. Wymieńmy tu niektóre tylko utwory, zaprezentowane w ostatnim czasie: Stabat Mater Dvorzaka, Requiem Faurégo, „Le Laud” Suterana, oratoria Haydna, msze Schuberta, Stabat Mater Szymanowskiego. Również opery w wersji estradowej: Kurpiński i Moniuszko, Mascagni i Puccini, Halevy, Verdi, Rossini...

Działalność artystyczna Filharmonii przebiega w tej chwili na trzech podstawowych płaszczyznach. Najważniejsze są cotygodniowe koncerty symfoniczne, prowadzone przez Adama Natanka, Ryszarda Komo-

rowskiego i zaproszonych dyrygentów polskich i zagranicznych. Przeważa w zasadzie repertuar romantyczny, niemniej sporo się słyszy współczesnych kompozycji polskich (Penderecki, Lutosławski, Górecki, Nikodemowicz, Kilar, Schäffer), a i miłośnicy muzyki dawniejszej iniewają od czasu do czasu swoje male przyjemności.

Druga płaszczyzna to koncerty kameralne i recitale, w których uczestniczyło wiele znakomych zespołów i solistów. Na lubelskiej estradzie występowały orkiestry kameralne z Moskwy, Wilna, Kobe i Paryża, Polska Orkiestra Kameralna Jerzego Maksymiuka, poznańscy kameraliści Agnieszki Duczmal, Warszawska Orkiestra Kameralna Karola Teutscha, a także Swiatosław Richter, Tatiana Nikołajewa, Witold Małcużyński, Garrick Ohlsson, Daniel Szafran, Władimir Brodski, Igor i Walery Ojstrachowie, Stanisław Bunin, plejada znakomych skrzypków radzieckich, no i naturalnie najcisłjsza czołówka instrumentalistów i śpiewaków polskich. Wielu wybitnych solistów zaprezentowano w ramach organizowanych przez Filharmonię festiwali: Należowskiego Diverzimento i Lubelskiego Września Muzycznego.

Trzeci kierunek pracy Filharmonii wyznaczają umuzykalniające koncerty symfoniczne i kameralne dla dzieci i młodzieży szkół podstawowych i średnich — w sumie około tysiąca rocznie na terenie województwa lubelskiego, zamojskiego, białskopodlaskiego, chełmskiego, siedleckiego i tarnobrzelskiego.

I wreszcie wojaże zagraniczne. Jeszcze u progu lat siedemdziesiątych filharmonicy wyjechali do ZSRR i na Węgry (jako soliści występowali Danuta Damięcka — sopran i Zbigniew Zienkowski — skrzypce). W 1980 roku odbyło się pierwsze włoskie tournée; na jego trasie znalazły się m.in. Rzym, Bari, Capri i Ancona. Rok później był Turyn (Conservatorio Verdi), Pordenone i Arezzo, a w 1984 roku zaproszono Filharmonię jako orkiestrę towarzyszącą pracom seminarium dyrygenckiego prof. Franco Ferrary w Bisceglie.

W 1985 roku w Szwajcarii filharmonicy pod batutą Alexa Eckerta wykonali oratorium Hermanna Suterana „Le Laud” do tekstów św. Franciszka z Asyżu (soliści: Danuta Damięcka, Alicja Marczak-Fabrowa, Jerzy Antepowicz, Zdzisław Krzywicki, chór dziecięcy POSM oraz chór IWA UMCS). W ramach tegoż tournée Zbigniew Zienkowski grał Wieniawskiego, a dyrygował Adam Natanek. Ten sam skład wykonawców zaprezentował w Szwecji muzykę Moniuszki, Wieniawskiego i Mendelssohna. Muzykę polską przedstawił filharmonicy na festiwalu w Koszycach (1986).

Kolejny, czwarty już wyjazd do Italii obejmował między innymi Udine, Pesaro i Gorizję. Solistami byli: skrzypek Michał Grabarczyk i wiolonczelista Stanisław Firlej. „Orkiestra świetnie zrównoważona, dobrana w każdej ze swych sekcji” — napisał wówczas recenzent „Il Messaggero Veneto”.

Tegoroczny szlak podróży filharmoników wiódł najpierw do Francji. W Fontenay-Le Comte, La Rochelle, Poitiers i Saintes uczestniczyli w wykonaniu „Niemieckiego Requiem” Brahmsa pod dyrekcją Pierre Herrewage’a. I tutaj oceny były bardzo pochlebne. Wreszcie Festiwal Muzyki Współczesnej w hiszpańskim Alicante we wrześniu tego roku, gdzie Adam Natanek poprowadził wykonanie utworów Lutosławskiego, Kilara, Pendereckiego i Góreckiego. Recenzent „Informacion”, rozporządzający widocznym odpowiednią skalą porównawczą, sformułował następującą konkluzję: „Usłyszeliśmy w Alicante wiele zespołów podobnego typu z Europy Wschodniej, ale żaden nie brzmiał tak dobrze, jak orkiestra z Lublina. Jest zespołem jednorodnym w tym znaczeniu, że wszystkie sekcje instrumentalne są na świetnym

poziomie. Jej członkowie grają z dużym entuzjazmem i profesjonalizmem: wysokiej próby, a dyryguje nimi w sposób uważny i precyzyjny dyrygent, z którym łączy orkiestrę wiele lat owocnej współpracy — Adam Natanek”. Czy to ocena podyktowana kurtuazją? Sądzę, że nie — podobnie brzmiące opinie towarzyszyły występom filharmoników w sali Filharmonii Narodowej, gdzie nierzadko mieli okazję koncertować, a wiadomo przecież, że nikt nie jest prorokiem we własnym kraju...

Mimo wszystko jednak zagraniczne sukcesy nie są chyba najważniejsze. Godne podkreślenia wydaje mi się to, że Filharmonia (niech mi to wybaczą zwolennicy teatru i operetki) pełni w tej chwili ważną funkcję kulturotwórczą oraz edukacyjną. Pełni ją świadomie i konsekwentnie, adresując swoje propozycje — dodajmy: wszechstronne i zróżnicowane — do określonego kręgu odbiorców. Zapewne, jest to krąg stosunkowo nieliczny, ale jestem skłonny bronić poglądu, wedle którego odbiór kultury był i pozostaje w gruncie rzeczy sprawą elit; mit równości, chętnie przywoływany w doraźnych celach agitacyjnych, nie ma tu żadnej mocy dowodowej, gdyż skala potrzeb i preferencji różni ludzi zasadniczo. Zwłaszcza, gdy idzie o muzykę, z natury asemantyczną.

ZTEGO, co dotychczas napisałem, można by wnosić, iż dzieje Filharmonii Lubelskiej układają się w pasmo olśniewających sukcesów, a przyszłość jawi się jak usłana płatkami róż z Alicante. Oczywiście, że tak nie jest. Aby stać się instytucją porównywalną do orkiestr zagranicznych (nie tylko z Europy Wschodniej, jak napisał hiszpański recenzent), musi ona spełnić kilka warunków.

Po pierwsze, sprawa sali. Problem ma już swoją odrębną historię, niczym słynny złoty wieżowiec przy Placu Bankowym (dawnym Dzierżyńskiego) w Warszawie. Obecna siedziba filharmoników jest w gruncie rzeczy salą kameralną — wykonywanie jakiegokolwiek dzieła z chórem powoduje znaczny ścisk na estradzie, a z pewnych pozycji repertuarowych trzeba rozsądnie rezygnować, gdyż nie pozwala na nie akustyka, i dlatego nie grywa się u nas Mahlera czy Wagnera.

Z powyższym łączy się druga kwestia, czyli skład orkiestry. Jest on mimo wszystko zbyt mały, aby odpowiedzialnie zaprezentować niektóre pozycje neoromantycznej symfoniki czy wspomniane kompozycje Wagnera. Ale wzmocnienia domaga się i kwintet, newralgiczny punkt każdej polskiej orkiestry. Uważny obserwator stwierdzi bez trudu przewagę repertuaru romantycznego (Chopin, Brahms, Dvorzak, Czajkowski, Karłowicz) oraz współczesnego nad klasyką (Vivaldi, Haydn, Mozart itp.). O ile bowiem w pierwszym przypadku potężne, nasycone brzmienie instrumentów dętych, wspartych rozbudowaną perkusją, skutecznie przytłumia ewentualne ustępki kwintetu, to utwory klasyków są tu bezlitosne.

Po spełnieniu tych warunków stanie się możliwe wzbogacenie repertuaru o barokowe concerti grossi, symfonikę wiedeńskich klasyków, a także dzieła wymagające wielkiego i sprawnego aparatu wykonawczego. Poszerzenie składu orkiestry wymagałoby wszakże stworzenia u nas autentycznego rynku pracy, gdzie argumentem byłyby wysokie kwalifikacje.

Czy Lublin posiada siłę przyciągania, zdolną skłonić instrumentalistów do zaciągnięcia się pod barwy Filharmonii, to inna sprawa. (Tu wraca jak bumerang dyskutowana od lat kwestia utworzenia filii Akademii Muzycznej, ale to już temat na oddzielne rozważania). Jeśli nawet przydarzy się embarras de richesse i muzycy z całego kraju zaczęną zjeżdżać do Lublina, to przeszkodą mogą okazać się warunki bytowe i placowe. Dopóki honorarium muzyka za solowy występ z orkiestrą będzie wyraźnie mniejsze od wynagrodzenia za usługę hydraulika czy blacharza (przy szacunku dla tych profesji), to o czym tu mówić.

Ale nie maćmy jubileuszowego nastroju. Życzę lubelskim filharmonikom i dyrektorowi Natankowi artystycznych sukcesów i radości towarzyszącej codziennej pracy. Mam też nadzieję, że gdy na stulecie Filharmonii zasiądą jako nestor lubelskiej krytyki w nowo oddanej sali przy ulicy Grottgera, zobaczą przed sobą wielką, doskonale przygotowaną orkiestrę, wolną od trąsk, które jej dziś towarzyszą.

GOGOL A SPRAWA POLSKA

„GAZETA WYBORCZA” (nr 147) niezbyt elegacko wypowiedziała się na temat polskich komunistów rozstrzelanych przez Stalina. Autor podpisany W.K. napisał: „W społeczeństwie polskim przeważa pogląd, iż były to wewnętrzne porachunki w gangsterskiej bandzie, a gangsterom nie wystawia się pomników”.

Zwrot o „gangsterskiej bandzie” bardzo się nie spodobał Danielowi Passentowi. Podobnie jak użyte przez Piotra Wojciechowskiego w felietonie w „Przeglądzie Katolickim” sformułowanie „dekapitacja pomnika Dzierżyńskiego”, oraz użycie przez Michała Smolorza w „Gościu Niedzielnym” takich określeń — odnoszących się do pewnego anonimowego polityka — jak: „nałógowy alkoholik, człowiek, o którym powiedzieć »zero«, byłoby zbyt wielkim komplementem”.

Daniel Passent („Polityka” 49/1989) słusznie oburza się na ten język. Po czym pisze:

„Bandyci, gangsterzy, mniej niż zero, alkoholicy, dekapitacja — cóż to za język. Ludzie, opanujcie się. Jeżeli tak pisze elita intelektualna obozu zwycięskiego, to jak potraktuje te słowa zwyczajna gawiedź”.

Hm. A co powiedzieć trzeba, gdy ktoś pisze o społeczeństwie (ściślej: o lepszej, bo czytającej gazecie, jego części) per „gawiedź”? Czy to jest dowód kultury politycznej i kultury języka, do której tak Pan Daniel Passent namawia?

Wychodzi na to, iż, trawestując Gogola, powiedzieć trzeba: „Jeden tylko u nas rzeczywiście kulturalny człowiek. Ale prawdę powiedziawszy, i on — cham”.

(cmzet)

JAK USPOŁECZNIĆ GAZETĘ?

Andrzej W. Pawluczuk

DOPOKI niepodzielne rządy sprawowała PZPR, rozbić monopolu informacyjnego wydawało się być jednym z podstawowych czynników umożliwiających systemowe zmiany na lepsze. Po sformowaniu rządu przez Tadeusza Mazowieckiego postulat uspołecznienia prasy, radia i telewizji nabrał nowej ostrości, a głosów domagających się rozparcelowania RSW „Prasa — Książka — Ruch” pojawia się coraz więcej.

Postulat ten posiada przecież ważne uzasadnienie. RSW budowała swoją potęgę także dzięki decyzjom politycznym. Wiele bowiem gazet, jak np. dawne popołudniówki „Czytelnikowski” i „Kurier”, a także monopolista w dziedzinie kolportażu, czyli Państwowe Przedsiębiorstwo Upowszechniania Prasy i Książki „Ruch”, zostały po prostu oddane na własność RSW. Wreszcie polityczny argument: nie może być dłużej tak, że część prasy redagowana jest przez ludzi, którzy przeciwstawiają się systemowym zmianom w Polsce.

A trzeba wiedzieć, że stare prowincjonalne układy, klikli, stosunki zależności i wzajemnej adoracji pozostały w dużej mierze nienaruszone. Nomenklatura trzyma się w terenie dobrze i bardzo dobrze, o czym świadczą fakty, jak niedawna afera z działkami nad jeziorem Białym pod Włodawą i kupowanie sobie samochodów za państwowe pieniądze.

Ludzie to obserwują i wyciągają wnioski. To nie jest uogólnienie. To skromniutki zarysowanie tła, na jakim rozegrały się niedawne przypadki wyniki z próby uspołecznienia (czy, jak inni mówią, przejęcia) białostockiej popołudniówki przez grupę dziennikarzy „niezależnych” — którym przewodził red. Janusz Stankiewicz. Do kwietnia 1982 r. był on publicystą miejscowego organu PZPR — „Gazety Współ-

czesnej”, później pracował w odtworzonych po dwuletniej przerwie i kierowanych przez Kirę Galczyńską „Kontrastach”. Ten miesięcznik reporterów, o dobrej reputacji w okresie 1975—81, zawieszono natychmiast po ogłoszeniu stanu wojennego, a cała redakcja (bez wyjątku) otrzymała wymówienia. „Odnowione” w roku 1983 „Kontrasty” nie zostały przez czytelników zaakceptowane, ponieważ były tubą propagandową ówczesnych sponsorów i kierowników stanu wojennego.

Później red. Stankiewicz podjął pracę etatową w popołudniowym „Kurierze Podlaskim”, który był dzieckiem stanu wojennego, jako że został założony przez RSW w roku 1983. I pracuje w tej gazecie do dnia dzisiejszego, ostatnio — na urlopie bezpłatnym.

Janusz Stankiewicz, którego znam osobiście od roku 1975 (wtedy to osiedliłem się w Białymstoku), jest postacią popularną w miejscowym środowisku dziennikarskim. A jest to środowisko dosyć, na tyle reszty kraju, wyjątkowe. Bardziej niż w Lublinie odważne, bardziej ruchliwe i o wiele bardziej wyczulone na niuanse natury moralnej. A także, co dziwi na tle miasta posiadającego dwa uniwersytety, białostocki dziennikarstwo są bardziej przedsiębiorczy. Oprócz dwóch dzienników i miesięcznika „Kontrasty”, w mieście tym wychodzi białostocki tygodnik „NIWA”, litewski kwartalnik „Ausra”, solidarnościowy „Tygodnik Białostocki” (założony w tym roku), miesięcznik Związku Sybiraków i tygodnik o śmiesznym tytule „Druha Ręka”, reklamujący się jako „pierwsza w Białymstoku gazeta prywatna”. Dodajmy, że do roku 1989 ukazywały się tutaj także dwa poważne czasopisma drugiego obiegu: kwartalniki polityczne „Słowa” i „Bez debitu”.

Wreszcie, co trzeba w tym miejscu przypomnieć, to dziennikarstwo białostoc-

kie, z którego począł się Nadzwyczajny Zjazd SDP w październiku 1980 roku. Zaraz 1 września, czyli nazajutrz po podpisaniu porozumień w Gdańsku i Szczecinie, Leszek Sławiński zaczął zbierać podpisy pod żądaniem nadzwyczajnego zebrania białostockiego oddziału SDP. Na tym zebraniu sformułowano wniosek o zwołanie nadzwyczajnego zjazdu delegatów Stowarzyszenia i telexy w tej sprawie wysłano do Zarządu Głównego w Warszawie i wszystkich terenowych oddziałów SDP.

Dziennikarze białostocki stanowili (po krakowskiej) najliczniejszą grupę z prowincji uczestniczącą w pracach tzw. komisji inicjatywnej, przygotowującej nadzwyczajny zjazd SDP, a na zjeździe w dniach 29—30 października oni, po grupie warszawskiej, krakowskiej i łódzkiej, zdobyli najwięcej miejsc we władzach naczelnych Stowarzyszenia.

We wszystkich tych działaniach Janusz Stankiewicz uczestniczył aktywnie, a że cieszył się dużym autorytetem w środowisku, jego wpływ na przemiany w Białymstoku był na pewno niemały.

„Kurier Podlaski” powstał w okresie stanu wojennego jako pismo, które miało przejąć tych czytelników, którzy bojkotowali partyjną „Gazetę Współczesną”. I w pełni mu się to udało, ponieważ propagandę uprawiano tam z umiarem i powściągliwie, mało zajmowano się bieżącą polityką i uzasadnianiem, że stan wojenny to dobrodziejstwo. Dużo było natomiast w „Kurierze” ciekawostek, spraw historycznych, pisano o kresach, był kącik towarzyski, podawano notowania z giełdy samochodowej i spod „Pewexu”.

Ludzie zaakceptowali ten rodzaj gazety, która jednak w sprzyjających o-

stojach potrafiła natychmiast wykorzystać każdą koniunkturę. Jako pierwsza gazeta spoza Warszawy podjęła „Kurier” sprawę Katynia i, na dodatek, bez uników. Dużo wcześniej niż gazety lubelskie zastosoowano tutaj oznaczenie cięć dokonanych przez cenzurę. Toteż z gazety kryptopartyjnej „Kurier Podlaski” przemienił się w roku 1989 w gazetę o sporym stopniu samodzielności i niezależności od miejscowego Komitetu Wojewódzkiego PZPR.

Aliści ów stopień niezależności oceniony został jako niewystarczający, także przez tych, którzy jeszcze w tym roku pozostawali członkami PZPR i pracowali w tymże „Kurierze”, kiedy jego zależność od białostockiego KW nie ulegała najmniejszej wątpliwości. Toteż kilkunastoosobowa grupa dziennikarzy pod przewodnictwem red. Stankiewicza zażądała, aby „Kurier” został „uspołeczniiony”. W praktyce miało to polegać na tym, że gazeta opuściłaby RSW i została przejęta przez grupę dziennikarzy jako ich współwłasność. Oni też decydowałiby o wszystkich sprawach personalnych i merytorycznych. Mówiąc inaczej, propozycja była taka, aby „Kurier Podlaski” stał się prywatną własnością kilkunastu osób.

Zapytany przeze mnie Janusz Stankiewicz odpowiedział, że ich działaniom nie patronował ani miejscowy Komitet Obywatelski, ani zarząd białostockiego regionu „Solidarności”. Reprezentują oni tylko siebie. Jest to inicjatywa wyłącznie ich. Ta pierwsza w Polsce, pionierska próba przejęcia gazety RSW nie powiodła się. Wydawca uciekł się do bardzo interesującego manewru: imiennego głosowania, kto jest za, a kto przeciw. Na zebraniu całej redakcji puszczono w obieg dwie kartki papieru i każdy dziennikarz musiał podpisać swoje nazwisko na jednej z nich, opowiadając się za pozostawieniem „Kuriera” w RSW bądź za oddaniem gazety grupie niezależnych. Nie można było ani uchylić się od głosowania, ani głosować „nie wiem”.

Nieznaczną, ale jednak większość, uzyskali zwolennicy uspołecznienia „Kuriera”. Jednakże zadaniem ankiety nie było przesądzenie tej sprawy. Według wydawcy, miał to być „sondaż”, i wydawca zastrzegł sobie, że wyciągnie „odpowiednie wnioski”, to znaczy, że ci, którzy optowali za przejęciem gazety, mogą zostać zwolnieni z pracy.

LISTY

„WSTRZĄS”

Nawiązując do mojego wyjaśnienia, opublikowanego w „Relacjach” nr 15/89 w związku z artykułem redaktora Izabelli Wlazłowskiej pt. „Wstrząs”, zamieszczonym w numerze 9/89 tegoż tygodnika, pragnę uzupełnić to wyjaśnienie o niniejszą informację:

W dniu 28 lutego 1989 roku III Wydział Karny Rewizyjny Sądu Wojewódzkiego w Lublinie uchylił wyrok Sądu Rejonowego w Opolu Lubelskim i postępowanie karne umorzył na mocy art. 11 pkt. 2 kpk w związku z art. 26 § 1 kk. Kosztami postępowania obciążony oskarżoną Helenę W.

Inaczej mówiąc, Sąd Wojewódzki w Lublinie stwierdził, iż oskarżona Helena W. dopuściła się zarzucanego jej czynu (znieważenie sąsiada), lecz z uwagi na społeczną znikomość tegoż czynu postępowanie umorzył, co nie jest równoznaczne z uniewinnieniem oskarżonej Heleny W.

Rzecznik Prasowy Szefa
WUSW w Lublinie
kpt. mgr Anna Dubel

Dd autorki:

Skrupulatność Pani rzecznik, która już dwukrotnie zabrała głos w sprawie mojego reportażu „Wstrząs”, ma się widać odwrotnie proporcjonalnie do zajmowania się sprawami przez funkcjonariuszy MO w terenie. By rzecz całą zakończyć, wypada, aby zabrała i ta „odsądzona od czci i wiary”, która śmiała „dyskredytować i godzić w dobre imię funkcjo-

nariuszy MO w Ponia...ej”, a nadto „podważać wiarygodność i rzetelność działań” milicji w szerokich kręgach czytelników.

W reportażu „Wstrząs” opisałam trzy wydarzenia, które miały miejsce w Ponia...ej. W każdym z nich uczestniczyła milicja. W przypadku 74-letniej Heleny W. sprawność działania milicji była aż taka, że doprowadziła starą kobietę natychmiast do sali sądowej. W pozostałych dwóch przypadkach: wypadku drogowego i domniemanego zabójstwa trudno się było jakoś milicjantom pozbiierać, a to dlatego, że uczestnikami tych wydarzeń byli po prostu ich znajomi. Zrelacjonowałam więc nastroje ludzi, których te sprawy dotyczyły, a także emocje, które nimi, a nie mną, kierowały.

I kierują nimi nadal, bo trudno się dziwić np. Helenie W., która wydeptała już wszystkie możliwe ścieżki, aby dojść zadośćuczynienia krzywdzie, jaką wyrządziła jej milicja i nadal wyrządza. — Jakim prawem — zapytała mnie Helena W. — pani rzecznik wypisuje do gazety oszczerstwa pod moim adresem, które z prawdą nie mają nic wspólnego. Cała wieś śmieje się ze mnie, że sąd skazał mnie na płacenie jakichś pieniędzy. A przecież nie zapłaciłam jednej złotówki. Ja uczciwie przeżyłam całe swoje życie. Do Warszawy pojechałam. Proszę, tam wreszcie sprawiedliwie zajęto się moją skargą.

Prokuratura Generalna w piśmie z 20 lipca br., skierowanym do Heleny W., stwierdziła: „W Prokuraturze Generalnej zbadano akta Sądu Rejonowego w Opolu Lubelskim. [...] Należy podkreślić, iż wyrok Sądu Wojewódzkiego, mocą którego wyrok skazujący Sąd Rejonowego w Opolu Lubelskim został uchylony, oznacza, że przepisany jej czyn nie stanowi przestępstwa z powodu znikomego jego

społecznego niebezpieczeństwa i nie powoduje umieszczenia w rejestrze skazanych, ani ponoszenia kosztów postępowania”...

Jak widać, interpretacja wyroku Heleny W. zależna jest od tego, gdzie kto siedzi i czyich interesów dogląda.

Po ukazaniu się reportażu „drgnęła” opisana przeze mnie sprawa wypadku drogowego. Szlamazarnie dochodzenie prowadzone przez milicję skupiło całą uwagę na tym, co ma do powiedzenia jego sprawca i jak to on przedstawia przebieg wypadków, nie zaś poszkodowany, który przesłuchany został przez milicję jako ostatni, w parę tygodni po wydarzeniu. Cóż, poszkodowany nie należy do kręgu znajomych milicji, w przeciwieństwie do sprawcy.

Tym razem sprawa trafiła do sądu. Wyrokiem Sądu Rejonowego w Opolu Lubelskim z sierpnia 89 r. w stosunku do sprawcy wypadku drogowego, Grzegorza P., postępowanie zostało warunkowo umorzone z wyznaczeniem okresu próby na 1 rok. Sąd przyznał Grzegorzowi P. zapłatę 20 tys. zł na rzecz Klubu Sportowego w Opolu i 63.000 zł na rzecz poszkodowanego.

I jeszcze kilkanaście słów na temat ostatniej opisaną przeze mnie sprawy — śmierci Mariana W. Rodzina jego, która nabrała podejrzeń co do tego, czy zmarł on śmiercią naturalną, czy ktoś mu w tym dopomógł, zarzucała milicji i Prokuraturze w Opolu Lubelskim niesprawność działania, która spowodowała zatarcie śladów tego wydarzenia. Z miesiąca na miesiąc wzrastały emocje w tej rodzinie, a ich szczytem była ekshumacja zwłok, w której musieli uczestniczyć. To był dla nich prawdziwy wstrząs.

W sprawie tej opinii wydał Zakład Medycyny Sądowej w Lublinie. Czytamy w niej: „Sekcji zwłok nie wy-

konano, mimo że milicja powiadomiona została przez szpital o zgonie pacjenta. [...] Materiały zawarte w aktach sprawy nie pozwalają na ocenę trzeźwości Mariana W. w czasie gdy miał doznać urazu głowy. Wprawdzie prokurator w uzasadnieniu o umorzeniu dochodzenia podał, że Marian W. znajdował się wówczas pod działaniem alkoholu, ale nie określił ilości, rodzaju oraz czasu spożywanego alkoholu. Także dalsze postępowanie wyjaśniające braku tego nie uzupełnia”...

Dalej w opinii stwierdza się, że obrażenia głowy Mariana W. „powstały w następstwie działania urzadzenia tępego, twardego, działającego ze znaczną siłą. Przebieg i lokalizacja złamań kości podstawy czaszki sugerują, że obrażenia mogły powstać w następstwie bezwładnego upadku”.

Po półtora roku od wydarzenia Prokuratura Wojewódzka w Lublinie po raz kolejny umorzyła śledztwo w sprawie wciąż niewyjaśnionej do końca śmierci Mariana W. W uzasadnieniu postanowienia o umorzeniu czytamy, że córka Mariana W. „słusznie kwestionowała np. odstąpienie od zarządzenia sekcji zwłok jej ojca bezpośrednio po zgonie ale [...] obecnie można jedynie stwierdzić, że było to niewątpliwie uchybienie”.

Izabella Wlazłowska

„PROTEST CZERWONYCH AUTOBUSÓW”

W Tygodniku Państwa, z dnia 26.10. br. (nr 41), ukazał się artykuł p. M. Podgajnego pt. „Protest czerwonych autobusów”. Autor przedkłada w nim

Taki był bezsporny stan faktyczny 22 listopada, kiedy zjawili się w Białymstoku, aby zbadać tę sprawę. Na temat tego, co wydarzyło się później, obie strony (a właściwie uczestniczą w tym sporze trzy strony) podawały całkowicie odmienne wersje.

Jedną jeszcze nie ulega wątpliwości: wydawca, czyli RSW „Prasa — Książka — Ruch”, nie zamierza oddawać gazety, którą powołał do życia i która przynosi nieźle dochody. Toteż grupa niezależnych z Januszem Stankiewiczem postanowiła założyć własną, prywatną gazetę. Spór toczy się więc już tylko o to, czy wydawca zechce jeszcze przez jakiś czas utrzymywać tych dziennikarzy, którzy okazali się nielojalni i głosowali za przejściem „Kuriera”, a którzy pozostają wciąż na etatach w formie, której tak bardzo nie lubią.

24 listopada telewizyjne „Wiadomości” podały informację, że dziennikarze ci otrzymali wypowiedzenia. Zaraz następnego dnia poszedłem do dyrektora białostockiego wydawnictwa RSW, Romualda Łazarowicza, który stanowczo zaprzeczył, jakoby ktokolwiek został z pracy zwolniony. Dyrektor nie ukrywał przede mną irytacji i oburzenia na tych, którzy chcą mu zabrać gazetę. „Nikt w RSW się nie urodził i nikt nie musi tu dożywno pracować” — powiedział, ale — powtórzył — nikogo jeszcze nie zwolniono.

Redaktor naczelny „Kuriera”, Wiesław Kobylński, również podtrzymywał, jakoby nikt nie został z pracy usunięty. Przeciwnie: uważa on, że cała sprawa powinna być załatwiona po dżentelmeńsku. Janusz Stankiewicz, jako redaktor nowego dziennika (jest już tytuł: „Kurier Poranny”), może przeciw wystąpić o przeniesienie w trybie porozumienia stron tych wszystkich dziennikarzy, którzy chcą pracować w nowej gazecie. Do tego czasu mogą oni pozostać na etatach w „Kurierze”, a W. Kobylński, jako redaktor naczelny, nie będzie nawet wymagał od nich świadczenia pracy.

Tego samego dnia, czyli 24 listopada, zapytałem dziennikarzy z grupy niezależnych, czy ktokolwiek z nich otrzymał na rękę wypowiedzenie z pracy. Okazało się, że nie, jeszcze nie. Janusz Stankiewicz pokazuje mi natomiast kserokopię pisma z 21 listopada, podpisanego przez red. Kobylńskiego. Jest to „wniosek o rozwiązanie umowy o pracę za wypowiedzeniem” z 15 dziennikarzami „Ku-

dramatyczną wręcz sytuację w lubelskim MPK. Nie będę polemizował z zawartymi w artykule tragicznymi opisami kłopotów, z jakimi boryka się MPK.

Skoro jednak porusza się na łamach „Relacji” temat MPK, pozwalam sobie na refleksje z drugiej strony czerwonego autobusu. Lubelskie MPK to czerwiec w skali świata, w którym to przedsiębiorstwie nie od roku, ani od lat dwudziestu, panuje totalna anarchia! W lubelskim MPK panoszą się od lat pogarda dla rzetelnej pracy, pogarda dla skazanych na „usługi” mieszkańców miasta. Powtarzam. Pogarda!

Autor artykułu pisze między innymi o sytuacji finansowej w MPK i o tym, że planowana sprzedaż biletów, za trzy i pół miliarda złotych, wymagała dotacji. No właśnie. Wszyscy domagają się dotacji. A dlaczego to od co najmniej kilku miesięcy (to jest od czasu, kiedy i ja zostałem skazany na MPK z powodów benzynowych) nie ujrzałem nigdy żadnego kontrolera biletów z ramienia MPK? Czy są tacy na etacie MPK. Pytam więc Szanownej Dyrekcji — za co im się płaci, tym kontrolerom, których nigdy nie ma?

Z moich obserwacji, co prawda krótkich, wynika, że praktycznie niewielu pasażerów kasuje bilety. Wszyscy właściwie jeżdżą na gapę. Trzeba, zamiast utyskiwać, Szanowna Dyrekcjo — pogonić wreszcie do pracy panów kontrolerów. Za co im się płaci?

Chociaż słyszałem od dziesiątków, co najmniej, jeżdżących w autobusach i trolejbusach, że ci panowie kontrolerzy niestety kultury nie znają, jeśli się już pokażą. A skoro już mowa o kulturze. Czy ktoś z lublinian (za wyjątkiem krewnych i znajomych panów kierowców) widział, aby pan kierowca na kilka choćby sekund wstrzymał się z ruszeniem z przystanku, nim dobiegnie ten kulawy inwalida?... O nie! Takich scen nieprzyzwoitych lublinianie nie znają. Słyszałem, że niektóre instytucje

riera”. Na pierwszym miejscu figuruje nazwisko Stankiewicza.

Wspomniałem o trzeciej stronie konfliktu, ale bardziej prawdziwie byłoby nazwać tę grupę obserwatorami. Są to dziennikarze, którzy po 13 grudnia 1981 r. zostali pozbawieni pracy, ale z różnych powodów nie znaleźli się w gronie tych, którzy wydawali wiosną tego roku gazety wyborcze, biuletyny solidarnościowe; dziennikarze, którzy nie znaleźli się w Komitecie Obywatelskim, a nawet nie zostali zaproszeni na zebranie reaktywującego się Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Są to ludzie z jakichś powodów nie lubiani przez tzw. niezależnych, i — powiedzmy szczerze — chyba tylko z tego powodu zepchnięci przez nich na margines odnawiającego się życia publicznego. Być może, ta miechę jest wzajemna...

Otóż wspomniany Leszek Sławiński, z tego w Polsce „odnowicielskiego” zebrania dziennikarzy, potem założyciel dwóch czasopism solidarnościowych (m.in. szczecińskiego dwutygodnika „Kwadrat”), następnie internowany i przez wiele lat bez pracy, powiedział mi, że grupie niezależnych chodzi po prostu o stołki. To samo powiedział mi dziennikarz „Kuriera”, który podpisał się pod społecznym nieniem gazety, ale kiedy zobaczył, co się dzieje, postanowił nie odchodzić z redakcji.

Z drugiej strony — jestem całym sercem po stronie tych, którzy usiłują do prowadzić do prawdziwego uspołecznienia środków masowego przekazu, bo przecież wolna prasa jest najlepszym strażnikiem swobód demokratycznych. O wszystkim bowiem zadecyduje czytelnik, którego coraz rzadziej stać na systematyczne kupowanie kilku gazet i który — wobec tego — będzie musiał wybrać albo partyjną „Gazetę Współczesną”, albo należącą także do RSW „Kurier Podlaski”, albo w pełni niezależny „Kurier Poranny” Janusza Stankiewicza, którego pierwszy numer ma się ukazać w styczniu przyszłego roku.

Z całego serca życzę powodzenia i uważam, że oddanie się pod osąd czytelników jest najlepszym rozwiązaniem przyszłego modelu prasy w Polsce. Na rynku powinien zostać gazety, które czytelnik chce kupować, a te, które wydawało się do tej pory ze względów jedynie politycznych, upadną same — bez niczyjego popychania i kopania.

piszą petycje i skargi do Dyrekcji MPK, na to, że np. autobus nr 26 jeździ, jak chce i kiedy chce, parając mieszkańców LSM na ciągłe spóźnianie do pracy (wszak linia 154 nie działa).

A w ogóle ileż to skarg piszą lublinianie na kierowców, na anarchię, na zupełne bezgłowie.

Od lat kilkunastu pracuję w Puławach. Z przyczyn podanych wyżej korzystam i ja z tamtejszego MPK. Nigdy nikomu w Puławach nie zdarzyło się to, by autobus nie przyjechał o czasie wskazanym na rozkładzie jazdy. A jak ta rzecz się ma w Lublinie? Rozkłady jazdy to ironia losu.

W artykule „Protest czerwonych autobusów” pisze autor, że załoga nie urzędują strajków, nie protestuje. „Bo oni chcą, mówi Dyrektor MPK, w przyzwoitych warunkach przewozić swoich pasażerów”. Przecież to zakrawa na ironię. Oni chcą przewozić swoich pasażerów... Rażej o tym niech mówią nie dyrektorzy MPK, lecz pasażerowie!

W artykule podaje się, że kierowcy w MPK zarabiają ok. 320 000 zł. Ja słyszałem, że ok. 500 000 zł. Ale podam, że np. doc. dr hab. nauk medycznych z wieloletnią praktyką zarabia ok. 236 000 zł (od miesiąca zaledwie!). A przedtem — wstyd pisać.

Nie widzę zatem żadnych racjonalnych powodów do strajków lub niezadowolonych. A tak na marginesie. Co robią związki zawodowe p. Miodowicza, tak dbającego o interes społeczny i dobre imię swoich członków, by zrehabilitować to nieszczęsne MPK? Co robi Solidarność?

Najszczęśliwszą i jedyną w Lublinie dzielnicą jest Czechów, gdzie nasilenie komunikacji jest niezłe. Muszą tam mieszkać grube ryby z MPK albo inni moi tego naszego lubelskiego światka.

Lubomir Stryjecki
Lublin

Tropem interesów w Polsce „B” GDZIE SPRZEDAWAĆ TRAWĘ?

Henryk Sieńko

Od kilku tygodni wędruję po województwie chełmskim. Jest to reporterska ekspedycja starego typu: jeżdżę autobusami, chodzę piechotą, przynosząc kilogramy błota na butach, nocuję w chłopskich, krytych jeszcze strzechą, chatach i w luksusowych willach. Tereny województwa chełmskiego penetruję w konkretnym celu. Chcę zobaczyć na własne oczy, ile jest prawdy w stwierdzeniu, że to Polska kategorii „B”. I czy w tej Polsce można się bogacić, dorabiać, robić interesy.

Jest początek listopada. W Łopienniku poznałem rolnika, który udzielił mi konkretnej odpowiedzi na pytanie: dlaczego chełmska wieś umiera? Wprawdzie, zauważył, pojawiają się ostatnio promyki nadziei, ale generalnie jest źle.

Antek Zawada gospodaruje na kilkunastu hektarach, dorobił się wielu maszyn, rozwija gospodarstwo. Żony nie ma. „Tego, co napsuliśmy przez kilkadziesiąt lat, nie naprawimy w rok, dwa — mówi. — Nie pomogą tu żadne akcje, wspólne zabawy i biesiady młodych rolników np. z dziewczynami z hoteli robotniczych, czy Chełmskich Zakładów Obuwia. To są żenujące imprezy! Wsi potrzeba więcej materiałów budowlanych, więcej eternitu i środków do produkcji, więcej sedesów i waniów do łaźni, a nie biesiad. I uczciwości w interesach, a nie zabaw!”

W ubiegłym roku Antek zasiał dwa hektary trawy nasiennej i zebrał świetny plon. Zresztą tak jak wielu innych rolników w Łopienniku, bo tutejsze gleby sprzyjają tego rodzaju uprawom. Kiedy jednak przyszło do sprzedawania nasion, odezwali się monopoliści z Centrali Nasienniej w Krasnymstawie. „Możemy kupować od was nasiona, ale pieniądze zapłacimy dopiero w grudniu, styczniu” — powiedziano chłopom. Rzeczywiście: kiedyś trzeba było czekać po dwa, trzy miesiące na pieniądze za wszelkie nasiona — buraków, marchwi, trawy... Tylko, że kiedyś nie było inflacji osiągniętej wskaźnik kilku procent dziennie. „Dziś taka inflacja oznacza czas skupu przy najmniej o 20—30 proc.” — złościł się rolnik. I mają rację. Jeszcze kilka tygodni temu, kiedy zbirali trawę z pól, cieszyli się, że zrobili na niej znakomity interes. Dzisiaj czują się oszukani. Niektórzy odstawili nasiona trzy miesiące temu, a pieniądze — nie ma.

W drodze do Centrali Nasienniej wstąpiłem do Urzędu Gminy w Krasnymstawie. Pani sekretarz potwierdziła słowa Antka: dla budownictwa indywidualnego w bieżącym roku gmina otrzymała cztery wanny do łaźni i cztery sedesy. Podał było kilkadziesiąt. O innych materiałach budowlanych już nie mówiliśmy, odpowiedział było machnięcie ręką. Nie zdziwiłem się przeto, kiedy kilka kilometrów dalej zobaczyłem, jak chłop kryją dach murowanej obory strzechą...

Wcześniej, oczywiście, zadzwoniłem do Centrali Nasienniej.

— Jak to jest z tą trawą nasienną? — zapytałem szefa ekspozytury, Zygmunta Borysa. — Kto robi na niej lepszy interes: chłop, czy wy — monopoliści?

— W chwili obecnej kwintal trawy kosztuje do 500 tys. złotych. Zależy to od klasy i odmiany. Pomiędzy I i III klasą jest 50 tys. różnicy, badanie siły kiełkowania trwa około trzech tygodni. Zdajemy sobie sprawę, że rolnicy czekają zbyt długo na wypłatę, ale co my możemy w tej sytuacji zrobić? — odpowiedział szef ekspozytury.

„Sprawa prosta — kalkulują rolnicy. — Pomiędzy klasami jest 50—60 tys. różnicy, my czekamy po dwa—trzy miesiące. Tracimy przy tej inflacji po 100—150 tys. na kwintalu”. A jak wyjaśnił mi jeden z plantatorów, który pracował kiedyś w Centrali, monopoliści dosuszają ziarno i sprzedają go z zyskiem dwukrotnym: na klasie i na odsetkach inflacyjnych. To jest dopiero INTERES!

Według pana Borysa, takie dosuszenie i oczyszczenie nasion przez rolnika, aby kwalifikowały się do klasy pierwszej, praktycznie nie jest możliwe. Wobec tego pytam: po co ta klasa w ogóle istnieje? Dla kogo?

W Łopienniku chcieli założyć spółkę sprzedającą trawę za granicę, byli klienci z Włoch... „A guzik z pętelką — powiedziała bariera biurokratyczna. — Nie dostaniemy koncesji na handel zagraniczny”.

Opuszczając Krasnystaw, wstąpiłem jeszcze do Składnicy Maszyn Rolniczych. Tego dnia były w składnicy beczki na wodę i kombajny ziemniaczane „Kralik”. Z ciekawości zapytałem, czy mógłbym kupić taki kombajn i ile on kosztuje.

— Co pan? — spojrział na mnie znad okularów urzędnik. — Z choinki się pan urwał? Cena? Nie wiem, może pięć, może dziesięć... [czyt. milionów]. W chwili druku tekstu — może i dziesięć. Nie ma jeszcze faktury — usłyszałem na koniec.

No właśnie: faktura — zmora handlu w ostatnich latach. To słowo w najróżniejszych odmianach śni się chłopom po nocach. To koszar, horror i matnia. Towar jest, stoi, leży na półce, a kupić nie można. Zazwyczaj faktura przychodzi po kilku dniach, tygodniach. Poważnie zainteresowani kupnem koczują w tym czasie pod sklepami i magazynami, tworzą listy kolejkowe, szukają dojść do otwartych rąk.

Ale na tym samym placu cieszyłem się z czego innego, z kilkudziesięciosobowej kolejki do parówki elektrycznej. Jeżeli rolnicy kupują parówki tak gremialnie (wszystkie naraz nie mogły się zepsuć), to znaczy, że chcą hodować trzodę, będą świnie, będzie mięso. Rynek zaczyna więc działać.

Kilkanasce kilometrów dalej mogłem na własne oczy zobaczyć owo „działanie rynku”. W Siennicy Różanej chłopci założyli spółkę z o.o. „SAMI SOBIE”, która ma produkować wędliny. To jedno z pierwszych w kraju Gminnych Przedsiębiorstw Chłopskich.



Rys. Arkadiusz Derecki

„TAM MÓWIĄ O NAS: POLAKI, TU - RUSKIE”

Ewa Czerwińska

U SIEBIE słyszą: „No, co ty? Mieszkaś w ZSRR, a mówisz, że jesteś Polakiem?”. Tu, w Lublinie, w stołowie akademika przy ul. Zana: „O, znowu Ruskie przyjechali i będą nas objadać!”.

TU

Odwiedzali już Polskę, mają tu rodzinę. Polska to nie jest zaskoczenie, już się ją zna. Także z telewizji polskiej, której pierwszy program dociera do Grodna i okolic. To tylko 25 kilometrów od Bugu. Kto ma antenę, ten tapie też „dwójkę”.

Zwiedzili Lublin.

— To takie prywatne miasto — mówi. — Dużo parków, zakamarków. Przytulnie. Starówka podobna do Stariej Rygi...

Przyjechali w październiku, 30 osób z Grodzieńszczyzny. Chcą studiować w Polsce. Na razie uczą się polskiego na specjalnym kursie. Niektórym potrzebny tylko szlif; ci mówią ładną, poprawną polszczyzną z tym miłym dla ucha zaśpiewem. Innym składanie zdań przychodzi jeszcze z trudnością.

Przed przyjazdem były kłopoty. Wprowadzi pieriestrojka, niby mniej biurokracji, ale na stosowne zezwolenie czekał do ostatniej chwili... Dostali je dzięki operatywności Tadeusza Gawina, prezesa Stowarzyszenia Kulturalno-Oświatowego Polaków na Grodzieńszczyźnie.

Dziewczęta mieszkają w akademiku przy ul. Zana, chłopcy w „Ikarze”. Wszli już w środowisko.

— Nieraz sprzątaczkę krzyczą, że w łazience bałagan — mówi Irka. — A to Arabowie gotują, nie my. One nie chcą tego wiedzieć. Mówią, że gdzie Ruskie, tam zawsze brud i smród... A to przecież nieprawda...

Też sknią za domem. Od czasu do czasu przeglądają albumy, w których wspomnienia. Klasa na wycieczce w Moskwie, wesele kuzyna, brat w wojsku, chrzciny u sąsiadów, z siostrą na wsi, jak były małe, a to wigilia w domu — choinka, karp na półmisku, a to znów najukochańsze przyjaciółki, i jeszcze scena przy autokarze — zespół artystyczny Stowarzyszenia, jeżdżą po różnych miejscowościach i śpiewają Polakom „Rozkwitają paki białych róż...”.

— Chcieliby przytulić się do tego środowiska — komentuje Bożena Fliśiak, przedstawicielka jedynej w kraju fundacji, działającej na rzecz pomocy szkołom polskim w ZSRR. — Na razie są jeszcze w izolacji, bo nie studiują. Kiszą się po prostu we własnym sosie. A przecież potrzebne im są kontakty, z rówieśnikami zwłaszcza. Myślmy o tym, żeby zainteresować grupę z Grodna lubelskie rodziny. Apel poszedł już w „Kurierze”. No i sprawa stypendiów. Każde z nich dostaje około 60 tysięcy na miesiąc. To nie za wiele. Może uda nam się załatwić grupie jakąś pomoc finansową z zakładów pracy... Chciałoby się dla nich jak najlepiej. Przecież to przyszli nauczyciele! Wrócą do siebie i będą uczyć dzieci z polskich rodzin. Musimy pomóc tym, którzy jeszcze polskość zachowali.

TAM
O historii

Irena:
— Babcia uczyła w polskim gimnazjum, w Grodnie. Rozmawia po polsku. Ja bardzo lubiłam słuchać, jak na naszych terenach Polska była. Jak przyszli Sowieci, to dziadek kłopoty miał. Cały czas do niego coś mieli. W

końcu oskarżyli jego o kradzież. Już po wojnie. Niby coś ukradł... Osadzili i na Sybir posłali. Ale dziadek Józef nie dojechał, bo wtedy państwo polskie o Polaków się upomniało. Skazanych polskiego pochodzenia zabrano do Polski. 17 lat dziadek był w Warszawie. Rodzina dalej w Ejsmontach sobie żyła. Babcia nie mogła dziadka odwiedzić przez te lata. Po powrocie nikt niczego nie wyjaśniał, nie przeprosił.

— Druga babcia, Stanisława, w młodości robiła teatr. Polskie sztuki wystawiała. Chciała aktorką zostać, ale prababka nie puściła. Jej mąż, dziadek Ignacy, przed wojskiem chował się w 44. Cała ludność miała iść do wojska, ale nie chciała. 2 lata ukrywali się. Po wojnie z dziadka prawie bandytę zrobili.

— Ja w paszporcie Irena, jak naprawdę nazywam się. Nauczycielka zawsze kresliła: Irina. A jak zapytałam, dlaczego, powiedziała: „Jaka ty jesteś Irena, po rosyjsku ty Irina”... Potem przyzwyczaiła się.

— U mnie w klasie dużo Polaków było. Raz tłumaczyłam na polski parę fraz jakiegoś wiersza. A moja przyjaciółka, Rosjanka, mówi: „Nie wyglupiaj się! Ty w Polsce możesz rozmawiać po polsku. Przeczka ty”. Przeczka znaczy obraźliwie — Polka...

— U mnie w paszporcie narodowość polska. Ale u niektórych Polaków, zdarza się, białoruska. Ludzie wstydziły się swojego języka, wszyscy znali rosyjski. „Jaki ty Polak, kiedy ty nie wiesz swojego języka?” — tak mogli w urzędzie powiedzieć i nie wpisać „narodowość polska”...

Władek:

— W niedzielę przed wyjazdem część naszej grupy pojechała do Kalet. Tam ekshumacja była żołnierzy polskich, co zginęli we wrześniu 39. Kalety — blisko granicy z białostockim województwem. Tam Polacy chcieli przedostać się na Litwę, ale NKWD rozstrzelało...

— My z kolegą też odkopywaliśmy. Widzieliśmy czaszki podziurawione, dużo guzików, buty, pieniądze w portfelu skórzanym, noże, włosy, złote zęby. 35 czaszek było. Taka chwila zadumy przyszła: czaszka pełnięta na dwie połowy, znak, gdzie kula weszła, fantazja mnie poniosła i wyobraziłem sobie, jak odbywało się rozstrzelanie...

Irena:
— O Polsce niewiele w szkole mówili. O wojnie z bolszewikami w 20 roku, że Polacy chcieli zabrać Rosji Litwę i Białoruś. To się nazywało: agresja. O drugiej wojnie, że Polacy ucierpieli, bo nie chcieli pomocy od Związku Radzieckiego, tylko od Anglii. Sami sobie byli winni.

O kościele

Asia:
— U nas na wsi przychodzili z aparatem pod kościół i robili zdjęcia. Potem wywieszali na tablicy w szkole. Nie rozumieli, jak to można chodzić do kościoła i wierzyć w Boga. Mówili: „Wy jesteście komsomolcy, to musicie być ateistami”.

Irena:
— Raz przed kościołem zaczepiła nas — mnie i moją mamę — znajoma nauczycielka. I mówi do mamy: „Radzę tobie samej nie chodzić i córki nie prowadzić. Na ten raz będą milczeć”. Najgorzej było w 81 i 82 roku. Ludzie bali się po polsku ze sobą rozmawiać.

Anielika:
— Nauczyciele łapali przy kościołach i straszili, że opinie zepsują. Opinia bardzo ważna, jak chce się dostać do szkoły wyższej. Mogli napisać, że się wierzy, i to mogło sprawić kłopot. Teraz jest więcej swobody.

Maryna:

— Kiedy Glemp przyjechał, tyle ludzi wierzących i niewierzących przyszło. Prawosławnych i katolików. Do soboru. Potem wszyscy do fary pobiegli. Ci, co nie weszli do środka, na drzewa wstąpili, na dachy wychodzili. Niektórzy przyszli, żeby pogapić się. Ale nie wysmiewali, zainteresowani byli; zaśmiał się ktoś, to zaraz mu powiedzieli...

— W Grodnie są 3 kościoły. Kiedyś chodziły do nich babcie. Teraz wolno wszystkim.

O komsomole

Witek:

— Jak jesteś komsomolcem, to powinieneś być lepszy, na przodzie. Komsomolcy to piękna młodzież, zahartowana. Powinna być w pierwszym szeregu. Być aktywistą.

Teresa, jedyna studentka w grupie (muzykologia, KUL):

— Wie pani, co to znaczy komsomolec? Jest lekcja historii i mówi się o marginesie: a u nas też jest człowiek, co odstąpił od antycznego wieku. To o mnie. Dzieci jak to dzieci. Patrzą się. A ty, odstajesz. — Nie-komsomolec to gorszy. Wszędzie, jak i w charakterze ludzi — jest dobrze i źle...

— 13 lat i czas do komsomolu wstąpić. Pytali i pytali. A ja: „Wiary nie wyrzekam się, a w komsomole głosi się, że Boga nie ma. Sumienie nie odpowiada temu, żeby ja wstąpiła”. Jak kręcisz, to w kółko cię namawiają. Myślenie, że przerobią. Jak z pierwszego razu dajesz prawdę, to nie czepiają się. Dali spokój. Rodzina moja bardzo religijna, tłumaczyli mi. Bo nauczyć to mało, zrozumieć trzeba. Ja teraz widzę, że na dobrą drogę rodzice stawiali. Z tego cieszę się. Tyle, że w szkole ciężko mi było, chociaż dobrze się uczyłam. Dlatego nerwy mam niespokojne jakieś.

— Potem skończyłam szkołę pedagogiczną, uczyłam dzieci muzyki i grałam w kościele. Jeszcze był ten czas, w którym musiał milczeć. Teraz widać, że nie będzie już tego prześladowania.

TU I TAM... A CO POTEM?

Jadwiga:

— Rodzice mówią po rosyjsku, białorusku. Dziadkowie po polsku.

Oksana:

— Babcia i dziadek są z Polski. Ale ja nie bardzo czuję się Polką. Teraz czuję się bardziej. W Zachodniej Białorusi, w woroneskim powiecie, 85 procent to Polacy. Od tego roku w 21 szkołach dzieci uczą się polskiego. Jedną godziną tygodniowo. Chcę być nauczycielką. Przyjechałam, żeby wziąć trochę tej wiedzy.

Władek:

— Jaki jest Polak w Polsce? Trochę romantyczny, uparty, uprzejmy, sympatyczny — w autobusie jest inaczej niż u nas.

Teresa:

— Historia po kółku idzie. Zmienia się. Rosja idzie naprzód, rozumie, że odstąpiła od Zachodu.

Witek:

— Co się zmieniło? To, że możesz mówić, co myślisz. To, że jesteśmy tutaj. Gorbaczow dużo porządku zaprowadził.

Teresa:

— Wróć tam po studiach. Gdzie człowiek urodził się, tam jego ojczyzna.

Irena:

— Tam mówią o nas: Polaki, tu — Ruskie. Ale nie mam kompleksów.

Azerbejdżan

PALAC szirwanazachna zamknięty — remont. Możemy podziwiać tylko finezyjnie tkany w kamiennej materii portal, doprawdy, trudno wyobrazić sobie podobne mistrzostwo przy tworzeniu tak uległym jak tkanina i nie, a przecież to piaskowiec! Nie ma lepszego określenia jak stare, wyswiechtane: koronkowa robota. Zwój winogron, listków, kwiatów, tworzących delikatną pajęczynę, ustępują w wejściowej niszy ostrosłupowym wgłębieniom i załamaniom, przypominającym do złudzenia plaster miodu.

— To nasz narodowy wzór — mówi Arif. — Takiego nie znajdziesz nigdzie indziej, jak światł arabski długi i szeroki.

Sam pałac przypomina ponurą, wieloboczną fortecę, na pierwszy rzut oka bez okien. Tworzą je (odna) ażurowe konstrukcje kamienne na wysokości drugiego, trzeciego piętra. Musiało tu się żyć bardzo niebezpiecznie. Dookoła pałacu i na dziedzińcu ubożono na żelaznych rusztowaniach dziesiątki kamiennych płyt, pokrytych pismem arabskim, które samo w sobie jest czystą grafiką. Odnosiłem wrażenie, jakbym zwiędział skład ogromnych stempli o abstrakcyjnym rysunku, przypominającym trudno czytelną rytę Majów.

— Wyłowiono je z wody, u podnóża Dziewoczej Wieży — objaśnia Arif. — Wówczas wieża stała na dnie morskim, nie na lądzie jak dziś.

Pałacowy meczet także zamknięty. Zwiedzimy jednak okazały grobowiec rodziny szacha — pochowano tu jego żonę i dzieci. Wewnątrz dużego, centralnie usytuowanego pomieszczenia ustawiono gablotę-makieta, pokazującą miejsca pochówków, jak i to, co pozostało po ludziach sprzed kilkuset lat. Przy ścianach wystawa XIX-wiecznej tkaniny i przedmiotów codziennego użytku — niezbyt interesująca.

Na południe od pałacu, przy obronnym murze — mauzoleum nadzwyczajnego poety. Dwupoziomowe, zaniedbane. Schodzę po schodkach na niższy po-

LISTY

„ARMIA CZERWONA
NA LUBELSZCZYŹNIE”

Z ogromnym zainteresowaniem przeczytałem (chyba nie tylko ja) cykl artykułów opracowanych przez p. Zbigniewa R. Muszyńskiego pt. „Armia Czerwona na Lubelszczyźnie”, napisanych tak barwnie i odważnie w naszym poczytnym Tygodniku.

Ponieważ miałem „przyjemność” zawrzeć bliższą znajomość z tą armią, pragnę dorzucić do tego bogatego cyklu garść swoich wspomnień i przeżyć, nie poruszanych przez p. Muszyńskiego.

Jak wyglądała sytuacja w naszym kraju we wrześniu 1939 r., wiemy dzisiaj doskonale z autopsji, książek, prasy i innych mass mediów. Natomiast mało kto wie, co się działo w Lublinie i tuż poza jego granicami pod koniec września i w pierwszych dniach października. Okupant niemiecki na dobre rozgościł się na żytniej i bogatej ziemi lubelskiej, ale o tym, że był i drugi amator na te ziemie — wiemy trochę mniej, a szczególnie pokolenia powojenne. Dopiero m. in. „Relacje” otworzyły oczy co niektórym na te zagadnienia, ale są i tacy, co nie wierzą w te „bzdury”.

Mieszkałem wówczas na Kośminku, tuż w pobliżu ul. Fabrycznej (dzisiaj Dr. Męcz. Majdanka), gdzie miałem możliwość obserwowania chyżo przemyskających ulicami miasta kolumn samochodów pancernych z czerwonymi gwiazdami, ociągających od strony Piask do centrum miasta. Wówczas było nie znane jeszcze tajne porozumienie do układu o nieagresji z 23 sierpnia — wkrótce jednak stało się jasne, „co w trawie piszczy”.

Podążyłem śladem kolumny sowieckich samochodów pancernych, które

zobacz znajomy smrodek snieci. Kilka dziesiąt metrów dalej, na dziedzińcu karawanseraju, położonego przy Dzwieżącej Wieży, znajduje się ekspozycja kunsztownie rzeźbionych kamieni, m. in. nagrobków i steli; czy nie lepszym miejscem dla jednego z nich byłby mauzoleum?

Wąską Turą wychodzimy poza obszar kompleksu pałacowego, schodki wiodą dół w dół, na wpuszczonym w ziemię kwadracie o boku 40-50 metrów żyła pałacowa służba. Mieszkał w ciasno skłębionych, jednolizbowych łepiankach, które tu mają formę kamiennych — z racji łatwego dostępu do budulca — budyneczek. Zachowały się, nawet, szeregowe dółki

kran z ciekącą wodą, w której kandy może umyć ręce i twarz. Otrzymujemy polniskie baraniki szaszłyków z pieczonymi pomidorami, są „ziółka i irawki”, no i herbata w „nacionalnych” szklaneczkach. Nasi przyjaciele prezentują sposób jedzenia, który Europejczykiem wydaje się być poza normą — z pomidorów na małych talerzykach robi się parkę, w której mażczany jest chleb, kości składane są nie na talerzach, lecz bezpośrednio na stole i.t.d.

JESTESMY zaproszeni na projekcję reportażu „puszczonego co prawda w TV, ale mocno pociętego. Historia jest prosta: konwój składający się z dwunastu ciężarówek

mendiant rejonu, uśmiechając się głupio, tłumaczy dziennikarce, że zostali napadnięci.

— Kamieniami? Nie wstyd wam było strzelać do bezbronych?

Długo milczy, sapie, uśmiecha się. — No co mam powiedzieć? Byłem z tyłu kolumny, strzelano w przódzie. Broni nie wzięliśmy, tylko kapsuły detonujące, detonatory, granaty, lonty...

Obok majora stoi dziesiętnastoletni chłopak, rękawy mundurki zawinięte po łokcie, automat przez pierś, twarz wyraźną wielką pewnością siebie, właściwie jest to już arogancja, pogarda dla wszystkiego, co jest poza jego oddziałem. Słucha majora z ciekawością, ale i ze zdziwieniem, jakby chciał powiedzieć: dlaczego się tłumaczysz, przecież i tak zrobimy wszystko, jeśli rozkażesz. On już odkrył porządek tego świata, już wie.

— Zobaczyliście, że to nie materiały budowlane tylko broń, dlaczego puszciliście dalej kolumnę? (Inaczej: dlaczego pomagacie Ormianom?) Dlaczego nie aresztowaliście ludzi?

— Przecież to nie broń! Wszystko idzie legalnie, konwój został oficjalnie zgłoszony.

Kamera pokazuje jedną z kabin kierowcy, spod podniesionego siedzenia ktoś wyciąga właściwą tablicę rejestracyjną, ta, która wisi przy zdzieraku, ma zmieniony numer. Okazuje się, że kierowca „samowolnie” zmienił.

Dowódca kolumny, podpułkownik (wojskowy), zupełnie szczerze, z uśmiechem, umawia się z dziennikarką na spotkanie, podczas którego obiecuje jej wszystko wyjaśnić. Z podpułkownikiem widzę rozstaje się w pogodnym nastroju. Psuje go relacja naoczego świadka zdarzenia:

— Czolg jechał na mój samochód, nie żeby stał na drodze, specjalnie, żeby roznieść! W ostatniej chwili wrzuciłem bieg i uciekłem spod gąsienic. Trochę dalej stało drugie auto, bez kierowcy, skręcił tam.

Kamera pokazuje sprasowaną karoserię.

— Ja weznię wojskowy uniform, od razu mnie nakryją; Ormianie chodzą przebrani w mundury oficerskie, nikt ich nie zatrzymuje. Strzelają do psów,

w powietrzu: boje się i zwiędają stąd! Idzie o to, żeby Azerbejdżanie na widok radzieckich żołnierzy rzucali wszystko i uciekali. W istocie są to też prowokacje antyrosyjskie.

Na zakończenie dziennikarka zadaje cztery retoryczne pytania:

1. W jaki sposób konwojenci mogli nie wiedzieć, co konwojują?
2. Kto jest nadawcą broni?
3. Kto wydał rozkaz strzelania do bezbronnej ludności?
4. Dlaczego wojsko nie zatrzymało broni, tylko pozwoliło ją wjechać do Karabachu?

Po pytaniach oświadczenie:

„Do mojego spotkania z dowódcą kolumny nie doszło, nie przyszedł. Nikt nie potrafił mi wskazać, gdzie mógł go znaleźć”.

W zatrzymanym kadrze szczerą, uśmiechniętą twarz podpułkownika.

Rzecz miała miejsce 31 lipca bieżącego roku w miejscowości Łaczn.

Dostają do ręki plik zdjęć zastrzelonych mężczyzn. Plecy jednego z nich przypominają durszlak.

— Strzelano do zabitego. Od tych ran umarł — wyrwana, żywa tkanka. Kula, przechodząc przez martwą tkankę, nie wyrwa jej, otwór jest okrągły. Jak w drewnie.

PCSIANOWILEM dać sobie jeden dzień urlopu podczas tego urlopu i wybrać na plażę.

Autobus, wierząc się na wyboistej drodze, mijając kamienne ślady, szczerze zamknięte w czworoboki przed oczyma przechodniów. Wysokie, ponad dwumetrowe ogrodzenie oprócz domów i wewnętrznych uliczek obejmuje altany, letnie kuchnie, małe ogródki a nawet sady. Na pytanie, co tam jest, Zema odpowiada:

— Nachalstroj! Tam żyją tylko Azerbejdżanie. Wieźli kiedyś Chruszczowa przez Baku i też zapytał: „a to co?” — „Świnie tam trzymają” — odpowiedział przytomnie jakiś kacyk. „W centrum Baku? Macie kulturalne świnie, telewizję oglądają” — pokazał ręką anteny. Ci ludzie płacą za gaz, prąd. Kiedy już wybudują dom, nikt ich nie rusza. Kto zajmie ziemię, jest jego.

(Koniec odcinka 6. — c.d.n.)

MIEDZY PRAWDĄ A NIENAWIŚCIĄ

Adam W. Kulik

paleniska w podłódze, zarysy kamiennych ław, na których spano, są pozostałości wspólnej łaźni. Całość przypomina zminiaturyzowane miasteczko z wąskimi uliczkami-prześmykami. Nie sposób wyobrazić sobie jakichkolwiek mebli, z których mogliby korzystać mieszkańcy, zapewne, jedynym wyposażeniem łóż były maty do spania, derki do przykrycia się i kociółek na strawę.

Budowle Baku z szarego, o odcieniu barwy miodu, piaskowca, mają swój klimat — chce się tu być, ale jesteśmy zmęczeni, niemal pionowo świecącym słońcem. Odpoczywamy chwilę, na kamiennej ławie przy wejściu do meczetu i Alif z Rafaelem zabierają nas — czas nagli, muszą wracać do domu.

Przy stadionie, niedaleko autobusowego dworca przyćmiona szaszlykarnia, pod drzewami, całe jej wyposażenie stanowią stoliki, ruszt, mała sadzawka z akwariowymi rybkami i

ubezpieczanych przez wozy bojowe wjeżdż z Goris (Armenia) „materiały budowlane” do Stiepanakiertu (Nagorny Karabach). Przez piętnastokilometrowy odcinek między granicą Armenii a Karabachem osłaniały kolumnę wojsko i milicja w obawie przed napadami Azerbejdżan. I co państwo powie: jak w dobrym scenariuszu napaść miała miejsce. Jeden z wozów najechał na słup elektryczny, przewrócił go, z drutów poszedł ogień, ktoś z mieszkańców wioski rzucił kamieniem w stronę ciężarówek, pó kolumnie poszło: napad! Nic prostszego, jak odbezpieczyć automaty i postrzelać do dzieci bawiących się koło swoich domów, do kobiet pracujących w ogrodzie. Oglądam w monitorze twarze rannych: kilkunastoletni chłopak, student, kobieta, którą kule dopadły w drzwiach domu — postrzelono kilkanaście osób.

Młody, pewny siebie major milicji Szerebiłow Siergiej Grigorijewicz, ko-

znalazył sobie przystanek w pobliżu pałacu radziwiłłowskiego (kolo d. kina „Corso”), gdzie mieściła się siedziba niemieckich władz wojskowych. Właśnie tu odbywały się przetargi co do podziału ziem polskich, w tym i Lubelszczyzny, między godnymi siebie kompanami. Skutki tych „różnów” mieliśmy wkrótce poznać. Elegancyjny oficerowie niemieccy przyjaźnie poklepywali jakże innych żołnierzy sowieckich. Owodem tego poklepywania było wytyczenie „granicy przyjaźni”, zakończone podziałem Europy wschodniej i Polski na strefy wpływów i odbyciem szeregu wspólnych defilad, m. in. i w Lublinie. [...]

I lub 2 października dostaliśmy wiadomość od uciekiniera z za sowieckiego kordonu, że Ojciec mój, będący na tzw. „ucieczce” przebywa u swego brata w Emilianowie k. Piask, że chce się z nami zobaczyć, że prosi o jakiekolwiek dokumenty i rzeczy osobiste. Nie namyślając się długo — rankiem następnego dnia wraz z matką wyruszyłem z szosą piasecką powitać długo nie widzianego ojca. Na wysokości Kalinówki (nawet nie wiedzieliśmy, że była to granica stref) niemiecki wartownik zapytał, dokąd i po co idziemy. Otrzymał stosowną odpowiedź i puścił nas w dalszą drogę, tylko z politowaniem pokręcił głową. Nie bardzo wiedzieliśmy, co ten gest miał oznaczać. Wkrótce mieliśmy się o tym przekonać i zrzucić sens słowa „schadę”, wypowiedzianego przez Niemca.

Po przejściu paru kilometrów ujrzelśmy kryjące się w lesie krępieckim sowieckie oddziały, czekające na rozkaz wkroczenia do Lublina i dalej aż do Wisły. Nikt nas nie zaczepiał. Miejscowi chłopcy „zaszli się w swoich domostwach”. Droga była pusta aż do Wierzchowisk. Tu dopiero się nami zainteresowano. Zapytano, gdzie i po co idziemy, kwitując krótko nasze tłumaczenia — „dalsze nie liza”.

Tu pod wielką sokorą, rosnącą tuż przy szosie i drodze do Bystrzejowic, mieściło się całe centrum dowodzenia. Tu formowano eszelony. Tu odbywał się wielki targ. Tu handlowano z „należalstwem” i sowieckimi żołnierzami. Sprzedawcami byli uciekinierzy ze strefy niemieckiej — przeważnie Żydzi, a także pseudokomunisty (ci prawdziwi zostali wcześniej wymordowani

w swojej czerwonej stolicy), pospolici przestępcy i inni zwolennicy sowieckiego raju. W tym handlu największym powodzeniem cieszyły się „czaszy”, „sapozzi”, żywność i wszystkie inne dobra, nie znane skópskoostim żołdatom, tej zbieranie różnych nacji. Wynikiem tego „handlu” było to, że niektórzy żołnierze mieli po kilka zegarków na każdej ręce i budziki zawieszane na szyjach. Wszystko, co cykało, znajdowało nabywców. Przez kilka godzin napatrzyłem się dość na handlujących — zacząłem z bliska przyglądać się armii „wyzwoliciele”.

W porównaniu z wojskiem polskim czy niemieckim armia ta przedstawiała widok żalony. Ubrana w obszarpane szynele, rubaszki, furazki lub kołpaki na głowach, parciane buty lub owijające karabiny na sznurkach, działa na drewnianych kołach, staroświeckie czolgi i wozy pancerne, m. in. te reprezentacyjne defilujące ulicami Lublina. Z samochodów niezawodne Gazy-1 i nieliczne osobowe dla wyższych dowódców. Szara piechota obarczona obowiązkowymi zrolowanymi kocami, przewieszonymi przez ramię. Obraz nędzy i rozpacz. Wyglądało to gorzej niż przedstawiała, tendencyjna przecież, propaganda. Wyższych dowódców i oficerów można było rozpoznać wyłącznie po skórzanych kurtkach lub waciakach.

Ale nie to było najważniejsze. Dowiedzieliśmy się od lepiej zorientowanych uciekinierów, że po południu zostanie uformowany eszelon i pod strażą zostanie odprowadzony do Chelma, a stamtąd za Bug i dalej w głąb Rosji. Wraz z matką znaleźliśmy się w postrzasku. Sowietci ani myśleli puścić nas w dalszą drogę. Groziła nam „zsyłka”. Mieliśmy podzielić los milionów Polaków z zajętych przez Sowietów ziem na wschód od Buga.

Matka moja była dobrze ubrana, urodziwą, trzydziestoletnią kobietą. Za poradą jakiegoś życzliwego sowieckiego oficera matka udała się do namiotu, w którym urzędował wysoki dowódca, może nawet sam N. Chruszczow. Nie do wiary! Matka czy go przekonała, czy oszaraowała, doszła do wysła uśmiechniętą z namiotem ze świstkiem papieru, wydartym z zeszytu szkolnego o treści: „Przeпуск — pre-

pustit żeńszczynę z rebionkiem”, opatrzoną podpisem i wielką, czerwoną pieczęcią. Dokument ten dość długo był przechowywany jako bezcenna pamiątka rodzinna, ale w związku z innymi, późniejszymi wydarzeniami, musiał być zniszczony.

Takim to sposobem udało nam się wykpić z nieznanego losu i uciec się w dalszą drogę, a czas po temu był najwyższy, gdyż równocześnie z nami w stronę Chelma wyruszył pod karabinami eszelon z kolumną uchodźców. Jaki był ich dalszy los, ktoż to może wiedzieć? My zaś, by nie iść drogą — nie wiadomo, co mogło przyjść do głowy ruskim żołdakom — polami dotarliśmy do odległego ok. 5 km Emilia-nowa.

Tu nastąpiło wzruszające spotkanie z wynędzniałym, ale już ogolonym i ubranym przez brata ojcem. Od niego dowiedzieliśmy się o poczynaniach Armii Czerwonej i band ukraińskich na naszych ziemiach wschodnich. Te sprawy dość szeroko opisał w swoim cyklu p. Muszyński.

Ojciec mój, jako funkcjonariusz państwowy, wraz z władzami miejskimi i wojewódzkimi opuścił Lublin w połowie września. Zgodnie z otrzymanymi rozkazami, mieli uciec się na Zaleszczyki w związku z zaistniałą sytuacją po 17 września. Nie dotarli do celu podróży. Przeszkodzili w tym Sowietci, odgradzając drogę do granicy.

W rejonie Buczacza i Czortkowa nad Seretem zostali otoczeni, rozbrojeni, ograbieni z pieniędzy, kosztowności, odzieży, obuwi i dokumentów. Zapędzono do wielkiego dołu, gdzie kazano gryźć im trawę. Na górnych krawędziach tego dołu ustawiono karabiny maszynowe. Los ich miał być przesądzony. Miał to być ostatnie chwile w ich życiu.

Między tą rozwydrzoną tłuszcją, znalazł się jednak jakiś mądrzejszy i bardziej ludzki oficer rosyjski. Kazał tym golasom i niedoszłym nieboszczykom wyjść z dołu, uformować kolumnę i pójść „w rajon” na przesłuchanie, a dopiero potem — każdemu według jego przeznaczenia. Ocena idealną i jedyną w tym wypadku były ręce. Jeżeli były gładkie i czyste, delikwent bezapelacyjnie kwalifikował się do obozu lub „pod szelnu”. Ci ze zniszczonymi ręk-

kami kwalifikowali się również do obozu, z tym że mieli szanse przeżycia.

W czasie tego „gnania” ojcu i kilku innym udało się zbiec z eszelonu. Goly i bosi, w łapciach z żyka, po blisko dwutygodniowej tułaczce, idąc wyłączone nocami przez pola i lasy, po nieznanym terenie, pełnym nieprzychylnych Ukraińców i wszelkiej maści młotochu, dotarli do Emilia-nowa.

To, co opisuje p. Muszyński, wydaje się być tylko niedopowiedzianym wstępem do tego, co rzeczywiście wydarzyło się tam. Sowietci i Ukraińcy. Można sobie tylko wyobrazić, jak była traktowana miejscowa ludność polska.

By przejść przez ziemie opanowane przez bolszewików, trzeba było pokonać wiele setek kilometrów. Na każdym kroku groziło schwytnie. Ojciec, ubrany w ciuchy ze stracha na wróble, brudny i nieogolony, wyglądał co najmniej „na szpiona”. W razie wpadki kara była tylko jedna — „kula w łeb”. Przez dwa tygodnie żywił się tym, co znalazł na bezpańskich polach, a to surowymi ziemniakami, brukwią lub burakami.

Podczas słuchania tych ojcowskich opowieści włos się jeżył na głowie. Tylko dzięki sprytowi i przytomności matki zawdzięczaliśmy wolność. Być może, że oboje zasilibyśmy szeregi wygnanców z rodzinnej ziemi gdzieś na stepach Kazachstanu, może Koly-mie, a może jeszcze gdzie indziej.

Następnego dnia rankiem, korzystając z tej samej przepustki powróciliśmy do Lublina. W Kalinówce wartownik niemiecki był wielce zdziwiony naszym powrotem — bowiem z tamtej strony na ogół nikt nie wracał — wyglądało to jak powrót z zaświatów. Ojciec zaś nocą, wypróbowany już sposobem, przedarł się przez sowieckie posterunki i szczęśliwie powrócił do domu. Z dwójga złego — lepsza była niewola niemiecka.

Wkrótce też Sowietci opuścili ziemie lubelską, zabierając ze sobą skompromitowanych służusów. Tak zakończyło się moje pierwsze spotkanie z armią sowiecką. Po raz drugi przyszło mi spotkać się z nią w lipcu 1944 r., ale to już inna historia.

Jerzy Pydo
Lublin

Dokończenie ze str. 1

nia przyjmie w szybko zmieniającej się sytuacji. Jak, na przykład, ustosunkuje się do artykułu 6 Konstytucji, mówiącego o kierowniczej roli KPZR w państwie?

I dwie są jeszcze główne trudności przebudowy. Problem stosunków narodowościowych, struktury narodowościowej państwa ukształtowanej w przeszłości, nie odpowiadającej współczesnemu obywatelowi i emancypującym się nacjom, oraz kwestia trafności reform politycznych i ekonomicznych.

LESZEK WISNIEWSKI: — Przez całe dziesięciolecie państwo radzieckie jawiło nam się tu, w Polsce, jako ustrój totalny, skostniały, odporny na reformy, ustanowiony raz na zawsze. Istniała oczywiście wiara i nadzieja, że może kiedyś nastąpią w tym wschodnim kolosie jakieś zmiany pozwalające myśleć o demokracji w innych państwach bloku, jednakże zmiany tak szybkie były niewątpliwym zaszczeniem. Ich głębokość, przede wszystkim. Po czterech latach ery Gorbaczowa wciąż traktuje się wydarzenia w ZSRR jako fenomen, kto wie, czy nie fenomen XX wieku. Może zechcielibyście panowie sprawdzić go do realniejszego wymiaru. Jadwiga Staniszkis w „Tygodniku Solidarność” przedstawiła tezę, iż czynnikiem sprawczym przemian w Związku Radzieckim i innych państwach socjalistycznych jest ośrodek koordynacyjny powiązany z KGB i armią, zmierzający za cenę demokratyzacji do wzmocnienia ekonomicznego kompleksu przemysłowo-wojskowego i odzyskania osłabionych pozycji strategicznych. Co sądzicie panowie o tej hipotezie?

ROBERT ENGIBARIAN: — O ile dobrze pojąłem, chodzi o to, że pierestrojka nie ma sensu sama w sobie, lecz kryją się za nią dalekosiężne cele strategiczno-imperialne. A skąd właściwie takie przypuszczenie, w oparciu o jakie dowody?

LESZEK WISNIEWSKI: — Nie powiedziałem, że się z tą hipotezą zgadzam, twierdzą tylko, że ona istnieje.

ROBERT ENGIBARIAN: — To, że przebudowa oprócz zhumanizowania naszej polityki, stosunków międzynarodowych i naszego życia, nie ma innych celów, wydaje mi się tak oczywiste, że nie wymaga jakichś specjalnych dowodów. Wydarzenia ostatnich tygodni w krajach socjalistycznych wskazują wyraźnie, że zrezygnowaliśmy z ingerencji w sprawy wewnętrzne, zresztą nie tylko krajów należących do Układu Warszawskiego. Stwierdziliśmy to na początku naszej drogi ku przebudowie, i tego przestrzegamy, że priorytet mieć będą wartości ogólnoludzkie. Postawiliśmy też wartości wyżej niż zasady klasowe i to — moim zdaniem — stanowi o rewolucyjnym, radykalnym charakterze zmian. W tym kontekście nowego wyrazu nabierają stosunki między państwami; przestały być one nacechowane wrogością lub przyjaźnią, a przybrały charakter partnerski. Uwypuklanie roli KGB i Ministerstwa Obrony nie ma tu żadnego oparcia w rzeczywistości. Te instytucje stawiane są obecnie pod kontrolą organów wybieralnych, partii, i ta tendencja będzie się prawdopodobnie nasilać.

ANDRIJ ZDROWOMYSŁÓW: — Co do fenomenu, jak pan powiedział, pierestrojki. Sądzę, że jej źródła trzeba szukać na XX Zjeździe KPZR w 1956 roku. Przebudowa mogła rozpocząć się cztery lata temu dlatego, że w partii i w środowiskach intelektualnych przechował się, przetrwał potencjał ukształtowany na fali XX Zjazdu i rozprawy z kultem jednostki. Dziś oczywiście wiemy dużo więcej o reżimie stalinowskim i tragedii naszego społeczeństwa, ale dążenie do wyświeślenia prawdy pojawiło się po raz pierwszy właśnie wtedy. Dążenie do przekształcenia naszego systemu w kierunku demokratycznym zostało zapoczątkowane w 1956 roku, ale wówczas nie miało możliwości realizacji.

JANUSZ WRONA: — Zatrzymano się w pół kroku.

ANDRIJ ZDROWOMYSŁÓW: — Zrobiono raczej może jedną ósmą kroku. Proces zmian napotkał na bardzo silny opór sił konserwatywnych w partii i społeczeństwie, w hierarchicznym układzie politycznym. Nasze kierownictwo partyjno-państwowe, zwłaszcza w drugiej połowie lat sześćdziesiątych, nie stało na wysokości zadania, dyktowanego przez czas.

LESZEK WISNIEWSKI: — Podobnie jak w Polsce po Październiku 56?

ANDRIJ ZDROWOMYSŁÓW: — Nie chciałbym dokonywać porównań, lecz raczej wskazać na źródła przebudowy. Otóż ludzie typu Gorbaczowa, Szewardnadze i inni działacze polityczni, określający dziś kierunki reform, wtedy, w 1956 roku, dopiero zaczynali życie polityczne, ale nie mieli wpływu na przebieg wydarzeń. Zwyciężyła wojskowa, zmilitaryzowana część naszej partii, wystarczająco mocna dzięki sile tradycji Wielkiej Wojny Ojczyźnianej i jej rezultatów. Idea wrogości dwóch światów okazała się wtedy dominująca.

LESZEK WISNIEWSKI: — Znaczący to, że sukces polityczno-militarny ZSRR w II wojnie światowej zahamował wcześniejsze procesy demokratyzacji...

ANDRIJ ZDROWOMYSŁÓW: — Tak, w pewnym sensie tak. Natomiast co do roli KGB i kompleksu przemysłowo-militarnego w pierestrojce, uważam to za naiwny pogląd z dziedziny spiskowej teorii dziejów. System polityczny, ukształtowany po XX Zjeździe KPZR, cechował się przewagą ośrodków władzy partyjnej nad władzą państwową, administracyjną. System ten nie wrócił już do masowych represji i w związku z tym rola aparatu bezpieczeństwa ogromnie zmalała, nigdy już nie odzyskując pozycji z czasów Berii, Jeżowa czy Jagody. Przebudowa powstała wewnątrz partii i tych sił intelektualnych, które zostały odsunięte, były na peryferiach życia politycznego w okresie stagnacji, ale w 1985 roku zaistniały takie możliwości, okrzepły te siły, które potrafiły przełamać zastój. Potrafiły zaproponować nowy program rozwoju społecznego.

JANUSZ WRONA: — Kolega pytał o narodziny pierestrojki, a ja chciałbym się dowiedzieć, co w świetle pierestrojki będzie można uznać za polityczne i intelektualne dziedzictwo komunizmu, którego uosobieniem i synonimem był Związek Radziecki. Z jakim dziedzictwem ZSRR wejdziesz w XXI wiek? Znany amerykański sowietolog, Zbigniew Brzeziński, w swej ostatniej książce „Agonia komunizmu” stawia diagnozę sprowadzającą się do stwierdzenia kompletnego bankrutstwa doktryny.

ANDRIJ ZDROWOMYSŁÓW: — Brzeziński jest głównym kontynuatorem i przedstawicielem doktryny antykomunistycznej. Co prawda był niedawno z wizytą w naszym kraju, prezentował się także w telewizji, i sądzę, że było to dla obu stron interesujące doświadczenie, ale — mimo ewolucji — jego poglądy są utrwalone. Mają one o tyle podporękę w rzeczywistości, że ideologia komunistyczna przeżywa obecnie kryzys. Kryzys niezgodności między wielkimi celami formułowanymi w oparciu o światową historię w skali globalnej i na odległą perspektywę, a środkami realizacji tych celów. Nasze możliwości zrealizowania programu komunistycznego dobrobytu, ideałów są jak na razie nader skromne. Powinniśmy

teresami politycznymi. Wiem, że podobne poglądy wypowiadają niektórzy ekonomiści radzieccy. Ale bardziej interesujące niż poglądy ekonomistów jest stanowisko ekipy kierującej centrum.

I druga sprawa — nacjonalizmów ekonomicznych. W szeregu republik pojawiają się dążenia do całkowitej autonomii z własnym pieniądzem, z samodzielnym handlem zagranicznym itp. Czy można wobec tego przypuszczać, że ZSRR będzie ewoluować w stronę federacji niezależnych ekonomicznie, a połączonych tylko politycznie, państw?

ROBERT ENGIBARIAN: — Przekształcenie Związku Radzieckiego w federację samodzielnych republik zostało wysunięte przez Komunistyczną Partię Litwy a także w innych republikach bałtyckich. Takie postawienie sprawy jest jednak niemożliwe do przyjęcia. Po pierwsze, partia w żaden sposób nie może nabierać identycznej struktury jak państwo, ponieważ jest partią polityczną, opartą na ogólnym światopoglądzie, na wspólnych zasadach organizacyjno-ustrojowych. Nie może składać się z różnych części wyznających różne zasady. Partia jest główną siłą cementującą nasze społeczeństwo. Innym problemem jest to, w jakich stosunkach pozostają centralizm

ZROZUMIEĆ BOGA I ROSJĘ



R. Engibarian



W. Siemionow



A. Zdrowomyslow
Fot. Waldemar Stępień

się ograniczyć do bardziej skromnych zadań, odpowiadających naszym rzeczywistym możliwościom. Co wcale nie oznacza, że ideały ruchu robotniczego, postępowych tendencji straciły na aktualności i należy z nich zrezygnować.

Sądzę, że społeczeństwa socjalistyczne, system socjalistyczny jako taki, przeżywające kryzys odnowy, znajdują sposoby rozwiązania tych problemów, na które napotykać obecnie, że będą znalezione nowe formy współżycia socjalistycznego. Nadzieje na to, że ma to oznaczać zwykły powrót do społeczeństwa kapitalistycznego, uważam za swego rodzaju dogmatyzm w drugą stronę. Należy patrzeć realnie na obecne procesy i złożony świat, który zarówno łączy społeczeństwa, jak i dzieli je. Trzeba kroczyć drogą utrwalania interesów ogólnoludzkich, ich priorytetu nad wszystkimi innymi.

WALENTIN SIEMIONOW: — Chciałbym powiedzieć kilka słów o międzynarodowych aspektach pierestrojki, o tym, jaki wpływ ma przebudowa w ZSRR na kraje socjalistyczne i na odwrót. W tym planie interesujący jest obecnie stan stosunków polsko-radzieckich. Niewątpliwie przełomowe znaczenie miała tu ubiegłoroczna wizyta Gorbaczowa w Polsce. Jeżdżąc po czterech województwach wschodniej Polski, obserwuję narastające zainteresowanie sprawami radzieckimi; z drugiej strony, za Bugiem, jest podobnie, zwłaszcza po czerwcowych wyborach.

Równocześnie dają znać o sobie rozmaite emocje. Gorbaczow na spotkaniu z dziennikarzami prasy moskiewskiej powiedział, że czytając gazety i periodyki, ma się wrażenie, jakby chodziło się po kostki w benzynie. Wystarczy tylko zapalka, by spowodować wybuch. Nie chciałbym tu pretendować do głębokich analiz, ale w prasie polskiej obserwuję identyczną sytuację. Brzeziński, którego trudno posądzać o sympatię do komunizmu i który we wstępie do książki o Katyniu nazywa tę zbrodnię czerwona plamą, w dalszej części przedmowy pisze, że bez względu na wszystko trzeba widzieć pozytywne aspekty przemian socjalistycznych i rozwijać kontakty. Książę Salij, publicysta „Tygodnika Powszechnego”, w wywiadzie dla „Moskowskich Nowosti” również przestrzegł przed pogłębianiem rowu katyńskiego i zaostrożaniem stosunków polsko-radzieckich. Prowadzi to, zdaniem ks. Salija, do odreagowania w myśl zasady: „Oni nas nienawidzą, więc my będziemy im odpłacać tym samym”. To bardzo groźne memento!

FRANCISZEK PIĄTKOWSKI: — Wejść w słowo, mniej może tytułem polemiki, ile raczej wyznania. Dziewięć lat spędziłem na Białostocczyźnie, gdzie żyło wyjątkowo dużo ludzi, którzy przeszli przez lagry i zsyłki. Wiedza o tym była powszechna, chociaż nieoficjalna. Być może występowało poczucie krzywdy, ale jednocześnie w tamtym regionie nie można było mówić o problemie antysowietyzmu czy antyradzieckości. Sądzę, że prawda leży! Na gruncie prawdy związki między ludźmi są trwalsze, głębsze i przydatniejsze w perspektywie historycznej.

MICHAŁ ZIELIŃSKI: — Poruszę temat ekonomiczny. Ekonomiści w Polsce i na Węgrzech są na ogół zgodni, że aby podnieść efektywność gospodarki, potrzebne są trzy rzeczy: odtworzenie rzeczywistej wartości, niekoniecznie zresztą prywatnej, tak by była to własność konkretna, a nie niczyja; po drugie — wprowadzenie pełnego rynku: środków produkcji, towarów, pracy; i po trzecie — odpolitycznienie gospodarki. Żeby w podejmowaniu decyzji ekonomicznych kierować się wyłącznie rachunkiem, a nie in-

i demokracja. Do tej pory dominował centralistyczny model organizacji działalności partyjnej, obecnie dążymy do ukształtowania pewnej równowagi. Podobnie postrzegam autonomię ekonomiczną czy raczej suwerenność ekonomiczną republik. Istnieje coś takiego jak nasza państwowa racja stanu i taki typ federacji, o jaką pan pytał, na pewno tej racji nie służy. To prowadziłoby w prostej konsekwencji do rozkładu organizmu państwowego jako całości.

ANDRIJ ZDROWOMYSŁÓW: — Jeżeli chodzi o problemy własności, są one obecnie przedmiotem dyskusji, przygotowywana jest uchwała o własności, która ma być przyjęta przez Zjazd Deputowanych Ludowych jako dokument do ogólnonarodowej dyskusji i tam pojawia się cała masa problemów do tej pory nie podnoszonych. I nie przypuszczam, żeby teraz ktoś był zdolny wypracować jednoznaczne rozwiązanie.

Ostatnio w Moskwie odbyło się kilka ważnych narad dotyczących problemów ekonomicznych. W trakcie dyskusji pojawiły się tam jak gdyby trzy opcje systemowe. Pierwsza z nich pośrednio nawiązywała do systemu nakazowego i jest raczej mało prawdopodobna, by zyskała ona szerszą akceptację. Druga związana jest z idą pluralizmu form własności i połączenia mechanizmów rynkowych z formami regulacji państwowej. Oczywiście, problem skali i sposobu interwencji państwowej dotyczy w równej mierze praktyki co i teorii. I jest jeszcze trzecia opcja, zbliżona do tej, o której mówił pan Zieliński.

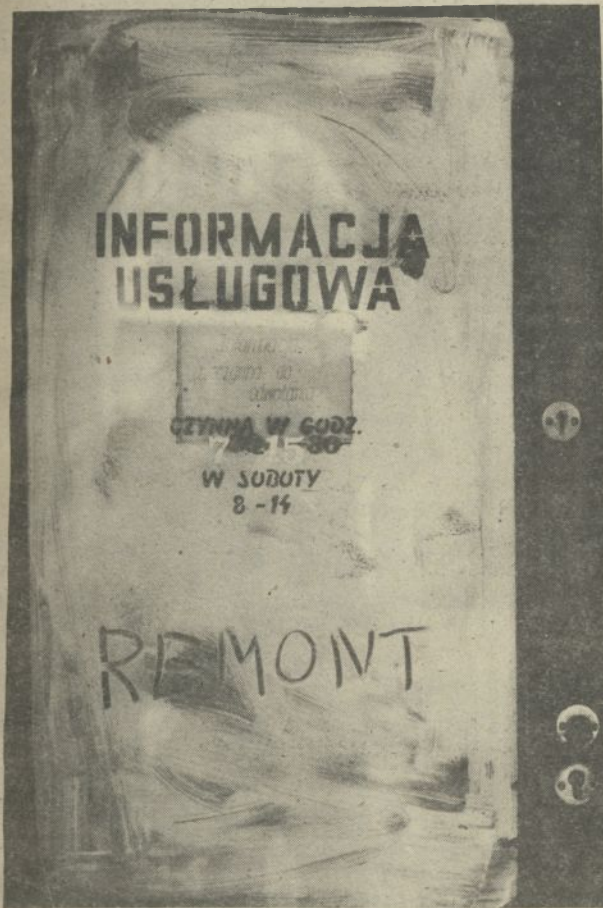
Główny problem naszego gospodarstwa polega nie tyle na zmianie form własności, co na zmianach orientacji samej gospodarki narodowej. Sądzę, że perspektywą jest połączenie drugiego i trzeciego punktu widzenia. Tylko, że gospodarka ZSRR jest tak olbrzymim, tak skomplikowanym mechanizmem, że jest to niezwykle trudne. Celem numer jeden jest ukierunkowanie na zaspokojenie potrzeb ludności, wyzwolenie z dominacji ciężkiego, inwestycyjnego sektora, stworzenie preferencji dla przemysłu konsumpcyjnego. Z tym się wiąże konieczność konwersji kompleksu wojskowo-przemysłowego.

LESZEK WISNIEWSKI: — Chciałbym postawić panom pytanie dotyczące żywotnych interesów Polski. Sytuacja z ostatnich tygodni w Niemczech i Berlinie, niewątpliwie przełomowa, rodzi pewne obawy o możliwość zjednoczenia obu państw niemieckich, wycofanie radzieckich interesów z Polski i inicjatywę nowego paktu Ribbentrop—Mołotow. Wspominany tu już Zbigniew Brzeziński przestrzegł przed podobną możliwością...

ANDRIJ ZDROWOMYSŁÓW: — Koncepcja wspólnego domu europejskiego jest istotną częścią składową nowego myślenia. Rozwój wydarzeń w krajach socjalistycznych wnosi wiele nowego do koncepcji i sądzę, że rozsądna polityka, nie tylko z naszej strony, ale także wyrażana przez liderów zachodnich, polega wyraźnie na zachowaniu bilansu interesów ukonstytuowanego po II wojnie światowej.

Jeśli ten układ zostałby naruszony, skutki byłyby trudne do przewidzenia. Równowaga leży w sferze interesów nie tylko Polski, ale Związku Radzieckiego również. Dlatego sądzę, że sytuacja z 17 września jest niemożliwa do powtórzenia, jest to zamknięta przeszłość. W przyszłości — jestem tego pewien — polityka naszego państwa nie będzie związana z pojawieniem się tego typu sytuacji.

Spisał i podał do druku:
Leszek Wiśniewski



JEDNI ZAMYKAJĄ DRUDZY OTWIERAJĄ

Bogaci jesteśmy... W czasie, kiedy w całej normalnej Europie trwa gorączkowy, przedświąteczny ruch i jedni kupują, a inni zarabiają na tym pieniądze — w Lublinie zamyka się sklepy. I to te z przedwojennymi tradycjami. Tymczasem inni pracowicie i kosztownie wkuwają się do piwnic. Jedni zamykają, drudzy otwierają...

Fot. Waldemar Stępień



Korespondencja własna z Londynu

PIERWSZE słowa hymnu Brytyjskiego Imperium — o Albionie, rozciągającym swe władztwo na dwie trzecie ziemskiego globu — są dawno nieaktualne. Czy jednak nowy mit „thatcherizmu”, ciężący bez wątpienia nad współczesną Europą, musi być tak bezwarunkowo nośny? Czy model brytyjskiej efektywnej ekonomii — do którego i my wydajemy się w dalekosiężnych założeniach dążyć — wart jest entuzjazmu i zapatrzeń? Na ile brytyjski „nowy ład ekonomiczny” realizuje aspiracje i potrzeby człowieka?

W latach 70. często odwiedzałem Londyn. Nieudolna, pogmatwana polityka labourystów (zwłaszcza Harolda Wilsona) doskwierała mi tak samo jak Brytyjczykom. Anglia staczała się po równi pochyłej. Dziś po dziesięciu latach rządów „żelaznej damy”, wiele się tu zmieniło. Kraj stał się bardziej uporządkowany i znacznie efektywniej sterowany. A jednak...

Właśnie, a jednak — i jest to obserwacja powszechna wśród cudzoziemców odwiedzających Wyspę — w angielskim poczuciu człowieczeństwa coś się załamało. Formalna uprzejmość i gładki uśmiech nadal królują tu wszędzie, a jednak zagubiła się gdzieś niegdysiejsza konfidencjonalna poufalość sprzedawcy gazet, u którego kupujesz co rano ulubiony tytuł, rzeźnika wydzielającego ci dzienną porcję bekonu, kasjera w metrze, który już zdążył poznać szlak twojej codziennej wędrówki, sąsiada z naprzeciwka, z którym zwykłeś komentować aktualny stan pogody. Wszystkie to zastąpione zostało bezosobową manierą businessmana, zorientowanego wyłącznie na zysk, na potencjalny profit, na korzyść za wszelką cenę.

Anglia nigdy nie była zaściankiem holubiącym człowieczą samotność. Przyjacielskie wyciągnięcie ręki, gest autentycznego wsparcia, romantyczne otwarcie bez zahamowań obce są generalnie anglosaskiej rasie. A jednak Anglia zawsze była przynajmniej spokojnym miejscem osiedlenia. Tolerancja — choć przy nieudolnie maskowanym poczuciu wyższości — zawsze wyznaczała cywilizacyjne oblicze tego kraju. Dziś odruchy materialnej determinacji objawiają się silniej niż po-

dzem — zaplutyh i zapijaczonych pariasów, drzemiących nad butelką cidery (angielski „belt”) w parkach i na ulicznych skwerach. Opowiadał mi jeden z takich lumpów, że ten kraj nie jest już dla niego. „On jest tylko dla twardej — dowodził. — Jeśli masz serce, spieprzaj stąd jak najszybciej”.

W sobotni wieczór jeden z wagonów metra opanowali pijani punkowie, szykanując i zaczepiając pozostałych pasażerów, którzy — na najbliższej stacji — przesiadali się milezkiem gdzie indziej. Piłkarski mecz ligowy to naj-

szym, niż ma to miejsce u nas, fakt, że po ulicach śmigają sportowe Hondy, Maserati i Porsche w liczbie o niebo wyższej niż niegdys — ale funt trzyma się nader kruchym wobec dolara (1.559) i walut innych ekspansywnych krajów świata; prawda że komputeryzacja i wysoka technologia opanowała niemal wszystkie dziedziny życia, ale przeciętny obywatel coraz bardziej zaciśka pasa (ciepłą wodę na kąpiel, gaz, dopływ elektryczności regulują wszędzie urządzenia pomiarowe, pożerające monety jak molochoy wysterowane na konsumpcję ludzkiego, ciężko wypra-

BRYTANIA DZISIAJ

Wiesław Horabik

zory. I, o dziwo, Anglia przeciętnego obywatela wcale nie radzi sobie lepiej niż RFN, Szwecja czy Holandia.

Idea klinicznego kapitalizmu, forsowana przez panią Thatcher (reprzywatyżacja państwowej sieci energetycznej kosztować będzie na przykład Brytyjczyków 30 tysięcy utraconych miejsc pracy), cofnęła jakby społeczną sferę życia do początkowej fazy systemu, której brutalności nikt z historyków nie neguje. Poglądliwa stę przepaść między elitą bardzo bogatych a rzeszą relatywnie biedniejszych — rzeczą, z którą współczesny kapitalizm wydawał się radzić sobie już tak dobrze. Owszem, znikło ewidentne balaganiarstwo, ale poszerzył się margines ludzi nie wytrzymujących tempa pogoni za pienią-

skuteczniejszy sposób popelnienia samobójstwa przez poddanie się stratozwaniu lub pobiciu kastetami chuliganów. Londyńskie ulice w weekendy pełne są wrzasku podchmielonej młodzieży, gwizdów, popiskiwań i bijatyk. Duch brytyjskich awanturników, niegdys rozszerzających w bezkres granice imperium, dziś manifestuje się zwykłą uliczną agresją.

Kiedy arcybiskup Canterbury dr Runcie nazwał Anglię epoki thatcherizmu „krajem bezдушnych faryzeuszów, zapatrzonych w złotego cielca”, rozgorzała społeczna dyskusja, rzeczowych kontrargumentów jednak jakos zabrakło. Jasne, że półki angielskich sklepów są pełne, inflacja jednak galopuje w tempie zaledwie nieco mniej-

cowanego dobra. Izolacja jednostki, pogarda dla drugiego, bezдушne rozpychanie się łokciami jakby coraz bardziej zamazywały godny przeciętne szacunku obraz „zielonej, przyjemnej Wyspy”.

Nie dziwnego, że niedawna afera z rezygnacją ministra skarbu spowodowała gorącą dyskusję nad całym systemem sprawowania władzy przez panią Thatcher. Zarzuca się jej despotyzm, autorytaryzm, nieliczenie się z kosztami społecznymi przeprowadzanych reform. Kryzys jest tak głęboki, że grozić może w konsekwencji dymisją „żelaznej damy”. Jakby otwarto się bowiem skrywane a wciąż narastające — zarówno w społeczeństwie jak i w samym gabinecie — obszary niechę-

Rozmowa z Marią Stefanek, niezależnym tłumaczem przysięgłym w Rzymie



Fot. Waldemar Stępień

— Od dziesięciu lat mieska pani we Włoszech. Z racji swojego zawodu tłumacza przysięgłego styka się pani często z Polakami, którzy „wybrali wolność” na Zachodzie. Czy w związku ze zmianami, jakie zaszły w naszym kraju, zmniejszyła się liczba polskich uchodźców we Włoszech?

— W ciągu ostatnich kilku miesięcy zmniejszyła się na pewno. Ale jest to chyba bardziej spowodowane wprowadzeniem znaczących ograniczeń w przyjmowaniu emigrantów polskich przez kraje zachodnie, niż tym, że w Polsce jest więcej wolności.

— Na czym polegają te ograniczenia?

— Włochy były traktowane przez Polaków jako kraj tranzytowy. Służyły

za poczekalnię przed wyjazdem do Stanów Zjednoczonych, Kanady, Austrii czy RPA. Oczywiście najbardziej popularne były Stany Zjednoczone. Otóż od kilku lat wizę do tego kraju otrzymywali tylko uchodźcy polityczni. Wiadomo, że różnie u naszych rodaków z tymi motywami politycznymi bywało. Sama kilkakrotnie pisałam podania o azyl polityczny funkcjonariuszom MO. Ambasada amerykańska brała za dobrą monetę podawane przez

— Gdzie? Do czego? Najczęściej ci, którzy w kraju zdecydowali się na emigrację, posprzedawali wszystko. Mieszkania, meble, samochody. Nie mają po prostu do czego wracać.

— Czekają ich deportacja do kraju?

— Deportacja absolutnie nie wchodzi w grę. Nie pozwoliłoby na to Watykan, mający duży wpływ na sprawy polskie we Włoszech.

— Przez te kilka lat pobytu we Włoszech Polacy, przynajmniej niektóry-

mi niebagatelne. Ale nie wyrzuci się przecież osób, które przebywają w obozach. Jeszcze niedawno osoby z dziećmi czy całe rodziny otrzymywały stosunkowo szybko miejsce w hotelach. Natomiast w tej chwili rząd włoski nie zważa nawet na to. Przeniesiono całe rodziny do obozu w Capui, gdzie gnieźdzą się np. w jednym pokoiku. Wypada to znacznie taniej niż płacenie za hotele, niemniej są to nadal spore pieniądze. Rząd włoski nie chce już ponosić wszystkich kosztów związanych z pobymem takiej liczby ludzi. Przedstawiciele innych narodowości można jeszcze przyjmować jako azylantów, ale Polska nie jest już problemem politycznym. Dlatego też zmnie-

WYJECHAĆ „NA PAPIEŻA”

Polaków motywy — prawdziwe czy nie — polityczne i wydawała zezwolenie na wyjazd. Po obradach okrągłego stołu, a tym bardziej po utworzeniu rządu Mazowieckiego, nagle zabrakło argumentów azylanckich. W ambasadzie odpowiadano: „Macie przecież już wolność we własnym kraju. Nie będziecie już prześladowani. Możecie wracać”. Tak więc dla Polaków sytuacja stała się bardzo nieciekawa. Stany Zjednoczone nie przyjmują już w ogóle nowych emigrantów a Kanada ich liczbę znacznie ograniczyła.

— Ilu jest Polaków przebywających obecnie na terenie Włoch?

— Czekających na wizę do innych krajów — ok. 10 tysięcy.

— Po tych wszystkich ograniczeniach wyjazdowych ich sytuacja jest raczej nieciekawa.

— Można nawet powiedzieć, że dramatyczna, ponieważ wiadomo już, że Zachód ich nie przyjmie. Proszę sobie wyobrazić człowieka, który dwa, trzy lata czekał w kolejce po wizę amerykańską i nagle okazuje się, że jej nie dostanie. Ze nikt jej nie dostanie.

— Mogą przecież wrócić do Polski.

— rzy, zdążyli się jakoś urządzać. Mogą więc chyba starać się o uzyskanie obywatelstwa włoskiego.

— Uzyskanie obywatelstwa włoskiego jest rzeczą prawie niemożliwą. Włosi mają bardzo ostre przepisy w tej mierze. Kilku czy nawet kilkunastoletni pobyt nie gwarantuje uzyskania obywatelstwa. Podstawą jest posiadanie pracy, natomiast żeby uzyskać pracę trzeba mieć obywatelstwo. Takie błędne koło.

— Co więc im pozostaje?

— Niektórzy mają szansę wyjechania na zaproszenie tzw. sponsora prywatnego, którym może być Kościół Polski w USA czy Kongres Polonii Kanadyjskiej. Przesyłało kwestionariusze, w których osoby emigrujące zobowiązywały się, że nie będą po przyjeździe do danego kraju ciężarem dla instytucji, która ich zaprasza. Lecz i ta możliwość jakby się koczowała.

— Mówimy o Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, ale przecież główny ciężar utrzymywania przez parę lat polskich emigrantów spoczywa na rządzie włoskim.

— To prawda, tym bardziej że sumy

nił się stosunek rządu włoskiego do polskich uchodźców.

— Na czym polegają te zmiany?

— Jeszcze przed rokiem, gdy dana osoba wyrażała chęć pozostania we Włoszech, władze włoskie zabierały jej paszport, dawały jego odtisk ksero ze swoją pieczęcią. Znaczyło to, że przyjęto do wiadomości fakt przebywania na terenie Włoch takiego imigranta. Było to jednoznaczne z zapewnieniem mu utrzymania, miejsca w obozie. Teraz Polacy przyjeżdżający do Włoch nie otrzymują niczego, nawet miejsca w obozie. Oficjalnie władze włoskie nie wiedzą o osobach pozostających nielegalnie na terenie Włoch. Nie przyjmują tego w każdym razie do wiadomości. Jeżeli ktoś ma wizę, na przykład, na miesiąc, to musi mieć także odpowiednią ilość pieniędzy. Jeżeli decyduje się na pozostanie na dłużej, jest to już wyłącznie jego sprawa, pozostaje wyłącznie na własnym utrzymaniu. Tak, nielegalnie, we Włoszech można przeżyć i kilka lat. Delikwent może być ujawniony dopiero kiedy wejdzie w konflikt z prawem.

ci, poirytowania i goryczki. Taką cenę płaci się zwykle za tworzenie „zielonej”, mechanicznej konstrukcji, w której zabraknie miejsca dla człowieka.

Cała ta refleksja znajduje potwierdzenie nie tylko z perspektywy Londynu, o którym ktoś może powiedzieć, że nie jest już prawdziwą Anglią, lecz kosmopolitycznym molochem, zamazującym wszelkie prawdy. Spędziłem również tydzień na prowincji, w małym miasteczku Dinton i wiosce Wylye niedaleko Southampton. To fakt, że piwiarnie są tam bardziej zaciszne, muzyka w nich bardziej intymna (skąd ci zimni Anglosasi znajdują w sobie dość romantyzmu, by pisać takie poetyckie piosenki?), wyrozumiałość ludzka głębsza. Ale i tam nie brak szorstkości, jakby odhumanizowanych indywidualistów, uwikłanych w nigdy nie zatrzymującą się pogoń za pieniądzem i przyjemnością.

Nie jestem zwolennikiem hołubienia nierobów, darmozjadów i leni. Nie odpowiada mi idea nadopiekuńczości i niezasadzonego miłosierdzia, a jednak to co obserwuję tutaj, także nie rozgrzewa mojego entuzjazmu. Może więc dojrzewa czas do próby skonstruowania czegoś pośredniego, jakiegoś systemu ekonomicznej efektywności, opartej o niepowtarzalny personalizm jednostki?

Wpadła mi tutaj w ręce książka profesora Rensenbrinka „Polska rzuca wyzwanie podzielonemu światu” (Poland Challenges the Divided World). Sugeruje ona, że to właśnie my — i naprawdę nie jest to wspieranie polskiej narodowej megalomanii — uchwyceni dziś w narodziny nowej politycznej międzyepoki, mamy unikalną szansę wypracowania dla świata takiego modelu. Proszę się nie śmiać — wielu poważnych komentatorów, tutaj i gdzie indziej, tak właśnie myśli.

Czy potrafimy wykrzycząc tę szanę?

Powinien nam pomóc instynkt, którego uśpić nigdy nam nie pozwalają na długo historia. Kłopot tylko w tym, że w takiej Anglii nadal kaźdy kierowca zatrzymuje się przed przejściem, by przepuścić pieszych...

— W takim razie sytuacja Polaka we Włoszech nie jest dobra, a jednak nadal sporo Polaków decyduje się pozostać tam i próbować uzyskać wizę do wybranego kraju. W związku z ograniczeniami w wydawaniu włoskich wiz najłatwiej jest wyjechać z pielgrzymką...

— Oczywiście, że tak. Ukuto nawet powiedzenie: „jechać na papieża”, a nie do papieża. Zazwyczaj ci ludzie, którzy pielgrzymkę wykorzystali jako sposób na dostanie się do Włoch, już na lotnisku znikają. Często jednak idą jeszcze na audiencje do Watykanu. W ambasadzie polskiej w Rzymie słyszy się żarty, niekiedy są to już prawie licytacje. Mówi się, ile osób wczoraj z pielgrzymki nie odleciało do kraju, ile dzisiaj, i zastanawia, ile ich będzie jutro. Ludzie pozostają zdając sobie sprawę z niemożliwości uzyskania wiz do USA czy Kanady. A jednak każda z nich liczy na łut szczęścia. Nierzadko ludzie ci mieszkają w pudłach tekturowych pod mostami. My jesteśmy przyzwyczajeni do pewnego minimum socjalnego, a tego Zachód nam nie gwarantuje. Ale jedziemy...

— Jaki jest stosunek samych Włochów do Polaków?

— Zupełnie inne podejście do Polaków mają Włosi, którzy nie weszli w konflikt z Polakami, niż np. mieszkańcy Latiny, Capui, Ladispoli czy Ostii. Dla Rzymian Polacy są egzotyką. Często słyszę, że jest im przykro, iż ludzie posiadający nierzadko dyplomy ukończenia wyższych uczelni muszą myć szyby na skrzyżowaniu. W stosunku do Polaków jest coś w rodzaju solidarności etnicznej. Włosi inaczej odnoszą się do Arabów czy Murzynów wykonujących nawet tę samą pracę. Polak za mycie szyb dostaje znacznie więcej, niż gdyby robił to właśnie Arab. Dlatego też Arabowie często farbują włosy na blond, by uchodzić za Polaków.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:
Violetta Krasnowska

Doktorów Cwachów ci a nas dostatek

ROTACJA

Tomasz Goworek

W MAJU odbyła się w redakcji „Relacji” dyskusja panelowa o adiunktach. Czy warto jeszcze raz mpruwać uwagę czytelników losami tak nielicznej grupy? Moje warto. Jeżeli, damy na to, na Podlasiu żyje ratunek niezgłębliwej bagiennej, którego populacja liczy 300 sztuk, a właśnie odgórnie przeznaczono na odstrzał połowę, to sprawa powinna interesować nie tylko myśliwych. Poza tym w panelu wzięli udział tylko humaniści i dyskutowali tylko o adiunktach. Problem jest trochę szerszy, chciałbym po-dyskutować o tzw. rotacji w ogóle, awiaszcza z punktu widzenia przyrodników.

Nauka potrzebuje ruchu, przepływu. Przepływu nie tylko informacji, ale także osób, wymiany pracowników. Zamknięcie się we własnym gronie prowadzi do hodowli w sobie i, dalej, nieuchronnie do degeneracji. Od wieków nauka broni się przed zaskorupiałymi strukturami i wypracowała odpowiednie metody: na świecie większość pracowników zatrudniana się na kontraktach, zabrania się zdobywania stopni w uczelniach, w których się jest zatrudnionym i vice versa. U nas ten mechanizm nie funkcjonuje z powodów zupełnie od nauki niezależnych:

1) braku mieszkań, uniemożliwiającego przenoszenie się z miasta do miasta;

2) braku dróg odejścia z uczelni, bo: a) nie istnieje przemysł (zbior fabryk nie jest jeszcze przemysłem), który mógłby wchłonąć, ba, który pozowałby na wysoko kwalifikowanych specjalistów;

b) w opinii społecznej uczelnia utraciłaby prestiż centrów elity.

Jeszcze za mojej pamięci widywało się na drzwiach gabinetu lekarskiego tabliczkę, gdzie po tytule, nazwisku, specjalności, napisane było np. „były asystent Uniwersytetu Lwowskiego”, i to był powód do dumy i magnesia dla pacjentów. Dziś pacjenci orzekliby: „A to niedojoła nawet z asystentury go wyrzucili”. Doszło do tego, że i szkoła nie przyjmie chętnie byłego pracownika naukowego.

Zamiast przepływu — stojąca woda. Jeżeli zbiornik stojącej wody jest duży, życie przebiega w nim bardziej lub mniej normalnie; gorzej z małymi; im zbiornik mniejszy, tym przyroducha groźniejsza. Zostawmy więc największe centra na boku, zajmijmy się małymi.

Skoro mechanizmów odejścia nie ma, a nie każdy ma sumienie wyrzucać tych, co są zdolni, ale nie aż tak, jak trzeba w dobrej uczelni, wymyślono na początku lat 60. pewien automatyzm eliminacji — rotację (termin eufemiczny, nie chodzi o obracanie wkóło, a o zwolnienie z pracy). Na zrobienie doktoratu tyle lat, na habilitację ileś tam lat. Przypomina to zabawę „fajra na kresce” (patrz: opowiadanie Hłaski). Mija ileś lat, asystent nadeptuje na kreskę bez ukończonego doktoratu i dostaje w ucho. Kierownik zakładu, dyrektor instytutu, mówi: „Panie kolego, jestem dla pana bardzo życzliwy, wiem, że pan wiele umie, ale, widzi pan co ja mogę — ustawa!” I asystent zostaje wyrotowany!

Jak wszystkie działania administracyjne, rotacja jest bezduszna automatyczna. Przydzielona liczba lat jest taką samą dla ośrodków wielkich, silnych co i dla małych, biednych, identyczna dla teoretyków i eksperymentatorów, dla humanistów i przyrodników. Wszystko pod jeden strychulec. Nie odróżnia nauk regionalnych i ogólnosiwiatowych. Ktoś przygotowujący rozprawę „Ruchy chłopskie w powiecie pcimskim w XIX wieku” nie obawia się, że na Uniwersytecie Waikiki na Hawajach ktoś powie „Po co ta robota, ruchy w Pcimiu zapracowałem już dawno temu, a w ogóle to dr Kowalski się myli, bo rebelia zaczęła się nie po bóje w karczmie Joska, tylko Moszka”. Chemik ma zsyntetyzować jakąś grupę związków i może się okazać, że zanim skończy, to na drugim końcu świata już to robią, opublikują całą robotę można o głowę potłuc.

Ustawa nie przewiduje wyjątków. Nemini parcellur. Komuś potrzebne jest napięcie kilkaset tysięcy voltów, trzaśnie zasilacz wartości 100 mln zł, na nowy trzeba poczekać, aż będą ekstra kredyty i aż producent zrobi, a asystentowi licznik cały czas bije. Bywało, że doktorant złoży rozprawę ponad 3 miesiące przed upływem terminu, ustawowy czas na przeprowadzenie obrony jest 3 miesiące — ni by wszystko w porządku. Ale mimo ustawy, nic nie zmusi recenzentów ani rady wydziału do dotrzymania terminu, za to doktorant wyleci z pracy.

Przez długie lata rotacja nie dotyczyła adiunktów, a tylko asystentów. I co? W ogóle nie spełniła swojego zadania, prawie nikogo nie wyeliminowała, bicz rotacji przepędzał masowo asystentów do grupy adiunktów, a o szczebel wyżej nie było takiego nacisku, ludzie nie awansowali i wiele zakładów naukowych składa się prawie wyłącznie z adiunktów. Rura od stażysty do profesora rozdziela się w połowie długości.

Warunki pracy naukowej w Polsce są niezmiernie trudne. Tam, gdzie rozwój odbywał się w sposób naturalny (bez rotacji), awansów było mało. Szczebel niżej rotacja wymusiła awans wszystkich. Doprowadziła więc do generalnego obniżenia poziomu doktoratów. Przy beznadziejnych warunkach eksperymentalnych, aby nie zmarnować zdolnego człowieka, trzeba było dla dobra sprawy przyznać czasem oko, niech będzie mniej zrobione, mniej dopracowane, aby zdążyć przed kosą. Później przydynka się oko po raz drugi i trzeci, a potem już się ma oczy stale zamknięte. Oprócz rotacji działają jeszcze dobrej wylgowie, ambitni docenci, którzy do awansu profesorskiego muszą się wylegitymować własnymi doktorantami i hołubią młodzież, jak mogą; pomagają, popychają.

Wprowadzona rotacja adiunktów, których nazbierało się mnóstwo, przeniesie procedurę o szczebel wyżej; okaże się, że wszyscy zaczną robić w terminie habilitacje, a im krótszy czas będzie dany (co się właśnie planuje), tym marniejszy będzie poziom. Rozdzić rury przesunie się wyżej, zakłady będą składały się z samych docentów, potem przyjdzie pora że z samych profesorów, aż zabraknie stopni drabiny i trzeba będzie stworzyć nowe: starszy profesor, starszy profesor sztabowy itd.

ROTACJA eliminuje nieterminowych, lecz nie zabezpiecza przed marszem w górę słabych, ale obrotnych, którzy znając swoje (nie) możliwości, najgorliwiej będą zabiegać o formalne zaświadczenie swego statusu naukowca, będą zabiegać o lądowanie po bezpiecznej stronie księżycy, ale nie o tworzenie wielkiej nauki.

Przed laty odbyło się w Lublinie spotkanie z sejmową komisją do spraw nauki i oświaty, na którym posłowie pytali zebranych, czy jest istotna różnica między doktoratem a habilitacją, aby warto było utrzymać dwa progi kariery naukowej. Powiedziałem: „Tak, jest różnica. W przypadku doktoratu promotor musi mieć dwóch znajomych, zaś przy habilitacji sam kandydat na stopień musi mieć dwóch znajomych”. Dziś bym tak chyba nie powiedział, bo z wiekiem bardziej się uważa na słowa, ale nauka polska aż do samej góry nie jest wolna od mier-

noty. Doktorów Cwachów ci u nas dostatek.

Co ma dać rotacja, skoro nie stanowi sity? Popędzać? Gdyby przyszli doktorzy habilitowani byli tak leniwi, że bez bata ani rusz, to lepiej żeby nie byli habilitowani. Żeby wymagać, trzeba stworzyć warunki, a w wielu naukach eksperymentalnych jest to zwyczajnie niemożliwe. Niestabilność przepisów zagnia sytuację. Długie lata adiunktów nie rotowano, od niedawna się rotuje. Gdyby wszyscy chcieli zdążyć, pewnie nie nadałyby komisje kwalifikujące. Wielu nie zdąży, ale jeżeli ich się zwolni, kto będzie dźwigał dydaktykę na prowincjonalnej uczelni? Nowo przyjęci na ich miejsce asystenci? A skąd ich wziąć? A ile czasu trzeba, żeby byli w stanie osiągnąć poziom dzisiejszych adiunktów?

Muszą istnieć nieadministracyjne drogi odejścia z uczelni. Tymczasem na byłych naukowców nikt nie reflektuje. Władze i większość społeczeństwa nie widzą większego pożytku z adr wysoko kwalifikowanych. Uniwersytet wydaje im się miejscem, gdzie 1000 osobom pozwolono się bawić zupełnie niepotrzebnymi rzeczami; jest tam też jeszcze dziesięć tysięcy studentów tj. młodych, zdrowych ludzi, którym zafundowano pięcioletnie bezpłatne wczasy, zamiast popędzić do roboty (roboty, zdaniem władz i zdrowej większości społeczeństwa, to kopanie rowów, broń Boże coś mądrzejszego). Naukowcy nie powinni wymagać wysokiej zapłaty za swe niepoważne, bezproduktywne zajęcia, studenci powinni być wdzięczni za zafundowane zwolnienie od zaszczytliwych obowiązków. Nie bardzo wiadomo, po co są uniwersytety, ale na całym świecie to istnieje i głupio byłoby zlikwidować choćby po to tylko, żeby się nie odróżniać od innych.

W IELE lat temu do jednej z klinik trafił zdun. Po operacji ciągle upominał się o wypisanie ze szpitala, bo kiedy leży to nie zarabia.

— A ileż pan zarabia? — zainteresował się profesor podczas obchodu. Zdun wymienił sumę.

— Ho, ho, to więcej niż ja!

— No tak, ale ja jestem fachowcem.

Takie były zduna z lat pięćdziesiątych poglądy na życie. Dziś ten sam pogląd, przez nikogo nie skontrowany, można usłyszeć z ekranu telewizora. Prezes Izby Rzemieślniczej, b. wiceprzewodniczący SD, stwierdził, że jest rzeczą słuszną, aby jego murarz zarabiał więcej od profesora. Kiedy miałem 10 lat, umiałem robić takie lastryko, że i pracownicy pana prezesa lepszemu nie potrafią. I co, dlatego, że umiałem robić to lastryko albo betonowe kęgi do studni, byłem więcej wart niż dziś? Nie walczę tu o własne dochody. Profesor się wyżywi. Niżej profesora jest docent, jeszcze niżej adiunkt, i jakby komu, umiatać, przyszło poddać się jakimś zabiegowi to ten adiunkt, stojący o dwa szczeble finansowo niżej od fachowca-murarza, będzie kroił. Proszę pamiętać, że on żadnym fachowcem, w rozumieniu PRL, nie jest.

Pensja adunkta równoważna jest 500 PUSTYM butelkom litrowym po pepsi coli. Półki dyskusja toczy się na poziomie zbieracza pustych butelek, nie jest godziwe rozważać, ile czasu potrzebna na habilitację. W XIX wieku w Prusach profesor otrzymywał 10 razy tyle, ile średnia płaca krajowa, plus rezydencję na koszt miasta; i m. in. dlatego z zaściankowego państewka Prusy stały się mocarstwem europejskim. My zrezygnowaliśmy z mocarstwowości ale może za dużo konsekwentnie? Czy można się dziwić, że na studia coraz mniej chętnych, kandydatów na asystentów jak na lekarstwo. Kto miałby zastąpić te tłumy zwalnianych adiunktów? Z pustego i Salomon...

Co może załatwić rotacja? Nie. O! pozorowana walka ze skutkami, a nie przyczynami. Przyczyny obecnej sytuacji leżą całkowicie poza uczelniami. Żeby coś się dało naprawić, kraj musi najpierw znormalnieć. Półki to nie nastąpi, będziemy mieli dalsze wygibas ustawowe, które do niczego, poza frustracją nie prowadzą.

Prof. dr hab. Tomasz Goworek
jest kierownikiem Zakładu Fizyki
Jądrowej Instytutu Fizyki UMCS.

— Niezależnie od jubileuszu Filharmonii, obchodzi pan 45-lecie swojej pracy artystycznej, rozpoczętej właśnie w Lublinie. Dołączając się do życzeń i gwarancji, pozwoli pan, że zapytam o początki.

— Lublin to moje rodzinne miasto. To było w ogóle miasto skrzypków — stąd wywodzili się Hornziel, Fleming, Frankenstein, Serwaczyński, no i oczywiście Wieniawski. Jakież fluide, klimat, bo ja wiem co... W moim przypadku zdecydowali rodzice, atmosfera domowa: ojciec był utalentowanym skrzypkiem amatorem, matka też była muzykalna, śpiewała, grała na gitarze. Zabierano mnie na każdy koncert. W domu często się muzykowało — z przyjaciółmi, w kwartecie.

— Teraz jest to chyba niemożliwe.
— W bloku? Sąsiedzi dostaliby szalu. A zresztą widział pan grających amatorów?

— W zespólach ludowych.
— No właśnie. Zaczęłam się uczyć od szóstego roku życia, najpierw lekcji udzielał mi ojciec, później prof. Wacław Grudziński, uczeń sławnego Cesara Thomsona. Wybuchła wojna, musiałem zacząć pracować, więc dużo grałem — to umiałem najlepiej. Zupełnie przypadkiem spotkałam mnie wtedy Artur Malawski, uczył mnie przez rok. Po wyzwoleniu zapisałam się do Państwowego Instytutu Muzycznego, do profesora Gache. Dyplom PWSM uzyskałam po kilku latach, u prof. Tadeusza Wrońskiego.

— Zaczął pan pracować...
— Od 1 października 1944 r., w nowo powstałej Lubelskiej Orkiestrze Kameralnej, która z czasem przekształciła się w Filharmonię. Początki były niewyłącznie trudne. Brakowało dosłownie wszystkiego: instrumentów, pulpitów, nut, sali, pieniędzy — i muzyków! Orkiestrę, którą założył Zygmunt Szczepański, tworzyło kilku profesjonalistów i amatorzy. Brałem udział w pierwszym koncercie, grałem też w kwintecie (z K. Iwanowem, Al. Bieleckim, R. Łosakiewiczem i J. Zaprawą). Stopniowo zespół powiększał się, rosły umiejętności, można było grać większe formy. Pierwszym dużym sukcesem było wykonanie Stabat Mater Szymanowskiego w dniu 29 maja 1947 roku.
— Niedługo potem pan wyjechał?
— Do Bydgoszczy. Rozpocząłem studia i zdałem egzamin do tamtejszej orkiestry radiowej, którą kierował Arnold Rezer. Bardzo dobry zespół. To był rok 1950.

— Co się wtedy grało?
— Wszystko, cały repertuar klasyczny, romantyczny... Aha, wiem, o co panu chodzi. Oczywiście, przy rozmaitych okazjach trzeba było grać repertuar okolicznościowy, różne tam kamtaty o Stalinie, niedołeone stylizacje na ludową nutę itp. Muzyka, na szczęście, uniknęła takiej ideologicznej obróbki, jakiej poddano literaturę, teatr czy malarstwo...
— Nie całkiem. Przypomnę panu Ki-

sielewskiego: „Niepoważna osoba, komunistka, która była za najnowocześniejszą muzyką we Lwowie, potem stała się w Polsce Ludowej właśnie wyrażicielką socrealizmu i zwalczała te najnowocześniejsze kierunki”. Wie pan, o kogo chodzi?

— Ba, o Liszę... Rzeczywiście zwalczano wtedy eksperymenty, nowatorstwo, dodekafonię Schönberga na przykład. Ale ja miałem na myśli to, co się grało, bo wypisywano rozmaite rzeczy. No, socrealizm był... Jednak było i bardzo ożywione życie muzyczne, dużo koncertów, ludzie garnęli się do muzyki, chcieli jej słuchać, chcieli grać.

— Czyli nie doświadczył pan żadnych znaków czasu?

— A jakże, tyle że później. W 1956 roku na koncercie w Filharmonii był amerykański dyrygent Strickland, pogratulował mi gry i zapytał, czy nie wykonałbym koncertu Samuela Barbera. On miałby dyrygować. Zgodziłem

INSTRUMENT NIE DA SIĘ OSZUKAĆ

Rozmowa z Bohdanem Giergielem, koncertmistrzem w Filharmonii Lubelskiej

się, dostałem wkrótce nuty, partyturę, nauczyłem się. Napisałem do niego, on do mnie. Jakoś niedługo potem, któregoś dnia o szóstej rano, odwiedziło mnie dwóch panów.

— Z organów?

— Dokładnie. Zaczęli mnie wypytywać o Stricklanda, zażądali okazania listów, z ich indagacji wynikało zresztą, że moja korespondencja była kontrolowana. Podobno mieli na niego jakiegoś haka. Koncertu Barbera nie zagrałem, ale za to co dwa tygodnie musiałem się meldować.

— Pewnie trafił pan na melomana. Z Bydgoszczą związał się pan...

— Na ówczesnym wieku. Tam były dwie orkiestry, radiowa i symfoniczna. Po ich połączeniu i utworzeniu Filharmonii Pomorskiej zostałem koncertmistrzem, dużo grałem solo, miałem kwartet. Jacy wtedy przyjeżdżali dyrygenci! Stokowski, Ansermet, Jansons, Rożdżewski, Sanderling, Benzi... Pracowałem z nimi wspaniale. Zaczęłam też grać na gitarze klasycznej, m.in. Koncert D-dur Vivaldiego — to był koniec lat pięćdziesiątych, tego nikt w Polsce nie robił. Koncertowałem w NRD, we Francji. Z Zespołem Muzyki Dawnej — kierował nim Stanisław Gałowski, dziś szef Capellae Cracoviensis — grałem na lutni teorbawowej. Pojechałem nawet studiować gitarę do Pragi, do prof. Stefana Urbana.

— Ciągłe się pan uczył?

— W tym zawodzie nie można inaczej. Stałe trzeba pracować nad sobą, instrument nie da się oszukać.

— Ale w Lublinie, po powrocie, już pan na gitarze nie grał?

— Bardzo trudno połączyć te dwa instrumenty. No i musi być zapotrzebowanie, jakiś impuls.

— Wiem, że na epizodzie praskim pana nauka się nie zakończyła...

— Ja zawsze uważałem, że czas na naukę musi być. Widzi pan, zakwalifikowałem się do ekipy polskiej na Konkurs im. Wieniawskiego. Niestety, zachorowałem poważnie i musiałem zrezygnować. Zresztą z biegiem lat stan zdrowia uniemożliwił mi również występ solowe.

— Ale wróćmy do tematu. Będąc w Moskwie, poszedłem do Konserwatorium im. Czajkowskiego i przypadkowo zapoznałem się z wielkim Dawidem Ojstrachem. Bardzo chciałem uczyć się pod jego kierunkiem, stąd mnie nie puszczali, bo do niego przedtem nikt nie jeździł. Wreszcie przysłał mi pismem potwierdzenie, że przyjmie mnie

do mojego rodzinnego miasta — zostałem tu koncertmistrzem. Przez dwa sezony byłem koncertmistrzem orkiestry w Bad Orb, koło Frankfurtu nad Menem. Jej szefem był Horst Welter, uczeń Hindemitha, a ja, proszę sobie wyobrazić, zostałem drugim dyrygentem, i to w wyniku konkursu! Grałem potem w radiowej orkiestrze w Monachium i jeszcze w Garmisch-Partenkirchen. Tam była taka Kammerorchester, bardzo sprawną — grało się Mozarta, Rossiniego, Schuberta, Brucha, miniatury Montiego, Kreislera, Hubaya.

— Kto to jest koncertmistrz?

— Zależy gdzie. U nas jest to skrzypiec, który siedzi z brzęgu przy pierwszym pulpicie i przed koncertem stroi orkiestrę. Na Zachodzie koncertmistrz pracuje na co dzień z orkiestrą, „czyści” artykulację, analizuje właściwości akustyczne sali, ustala szczegóły odnoszące do smyczkowania czy palcowania. Dy-

rygent tego nie robi, on ustala tylko interpretację, na pedagogikę nie ma czasu. Za to koncertmistrz często przysłuchuje skrzypków tutti, udziela im wskazówek, pomaga.
— U nas nie?
— W Polsce? Żarty. Ilu muzyków bierze nuty do domu, żeby poćwiczyć? Tu nie ma żadnej konkurencji, starań, robienia repertuaru. W RFN do konkursów na jedno miejsce w filharmonii staje po kilkadziesiąt osób, bo to nobilituje, daje pozycję zawodową, każdy chce być lepszy od innych. Tutaj filharmonia nie jest żadnym magnesem, lepszy statek, cyrk czy restauracja zagraniczna. Podobno z polskich muzyków — dobrych, wyszkolonych, można by na Zachodzie złożyć kilkanaście orkiestr. Większość z nich nie gra w orkiestrach i już tam nie trafia. To niby co miałby tu robić koncertmistrz, komu pomagać, doradzać. Dlaczego tak jest?

— System.

— Ee, zaraz system. Kiedy ja zacząłem, wtedy był system. A zresztą może i ma pan rację: zmieniła się mentalność, hierarchia wartości, podejście do zawodu. Coraz mniej w tym pasji, górę bierze rzemiosło.

— Panie Bohdanie, jesteśmy w tonacji molowej, czy to przystoi przy jubileuszu?

— Tylko pozornie. Można się zawieść na systemie, kolegach i przyjaciółach, nawet na bliskich, ale nie na muzyce. Ona nie zawiodła mnie nigdy i ja byłem jej wierny. I będę.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: Stefan Münch

— O ile wiem, nie tylko z rodziną Ojstrachów wiąże pana przyjaźń.

— Rzeczywiście. W 1959 roku byłem na koncercie Yehudi Menuhina w Warszawie, grał Brahmsa. Urzeczony jego grą, wrzeszczyłem do głębi, wykonałem portret artysty i posłałem mu do Kalifornii. Wywiązała się między nami długoletnia i serdeczna korespondencja, a w trudnych życiowych chwilach Menuhin dużo mi pomógł. Dziwi się pan, że ja maluję? Owszem, robię to dla przyjemności, muszę mieć szczególnie nastroj, inspirację.

— Po 25 latach opuścił pan jednak Bydgoszcz.

— Tak, głównie za sprawą powikłań rodzinnych. Zawsze uważałem, że muzyka nie znosi kompromisu, żąda absolutnej wierności, oddania. Niestety, nie każdy potrafi to zrozumieć. Wróci-

PODRÓŻ DO PIETUSZEK

Anna Mickiewicz

11 LISTOPADA 1989 roku w Lubelskim Domu Kultury Łódzki „Teatr 77” zaprezentował spektakl pt. „Moskwa — Pietuszki”. Przedstawienie to przygotowano na podstawie powieści W. Jerofiejewa pod tym samym tytułem. Książka została napisana jesienią 1969 roku. Polski przekład ukazał się w wydawnictwie „Kontra” w Londynie w 1976 roku, natomiast pierwszy przedruk krajowy wydała w 1979 roku Biblioteka „Puls”. Książka ta krążyła również w licznych odpisach. Ostatnio powieść doczekała się oficjalnego wydania w Związku Radzieckim.

Wchodzimy do sali widowiskowej. Panuje tu półmrok. Tuż przed nami scena, na niej ustawione elementy scenografii — metrowa ściana zbudowana z desek, przed nią stara tekturowa walizka. Słyszymy skoczne pieśni rosyjskie, romanse, ballady. Zdecydowana większość widowni to młodzież.

W pewnym momencie na scenie zapala się olbrzymia lampa-reflektor wisząca nad walizką. Muzyka milknie. Na scenie, tuż przed drewnianą ścianą, leży skulony człowiek — jest to bohater spektaklu, Wieniczka.

Za ścianą, nad głową leżącego pojawiają się dwaj mężczyźni, siadając na wysokim płocie. Jeden ubrany jest na białą, drugi na czarno — są to aniołowie, którzy towarzyszą naszemu bohaterowi przez cały czas trwania spektaklu. Z lewej strony pojawia się tajemniczo uśmiechnięta kobieta, ubrana w niebieską suknię, czerwone skarpetki i stare buty. Ona również

jest nieodłączną towarzyszką Wieniczki, choć odgrywane przez nią role zmieniają się w kolejnych scenach.

Wieniczka to człowiek, który podróżuje pociągiem z Moskwy do Pietuszek. Dowiadujemy się, że nasz bohater robił w życiu bardzo wiele — podróżował, trochę studiował, był na zebraniach partyjnych, kopał rowy, układał kable. Nie wiemy do końca, co w jego opowiadaniach jest prawdą, a co fantazją.

W pewnym momencie życia zaczął pić. Mówi, że pije, bo cała inteligencja rosyjska pije, a inteligencja pije, bo rozpacza nad losem ludu rosyjskiego. Im więcej rozpacza, tym więcej pije. Im więcej pije, tym więcej rozpacza. Tak oto wygląda błędne koło życia Wieniczki.

Akcja spektaklu zbudowana jest z luźnych scen, których spoiwo stanowi właśnie podróż Włókna z Moskwy do Pietuszek.

Jak to w pociągu, każdy z pasażerów relacjonuje zdarzenia i przygody ze swego życia. Wieniczka opowiada o swoich ostatnich przeżyciach w brygadzie instalacyjnej. Pracował z nim kilku mężczyzn. Na początku tygodnia grali w karty na pieniądze, potem każdy szedł po swoją butelkę, następnie kopano rowy i układano kable. Ostatni dzień tygodnia różnił się od poprzednich tylko jednym szczegółem; po rytualnych czynnościach, związanych z butelką i kartami, wyjmowano kable, który tymczasem zawilgotniał.

Gdy nasz bohater został szefem brygady instalacyjnej, usprawnił pracę. Z harmonogramu dnia wyłożył wkładanie i wyjmowanie kabla, co pozwoliło zwiększyć spożycie. Wprowadził również „indywidualne wykresy wydajności”, mierzące wielkość spożycia w przeliczeniu na czyste litry spirytusu.

To właśnie go zgubiło. Mieli bowiem zwyczaj wysłać do władz raz na tydzień jakieś wspaniałe komсомольskie postanowienie (np.: „poza pracą będziemy od dziś równie wydajni jak w pracy”). I do tych pięknych uchwał ktoś w stanie pełnej nieświadomości dołączył alkoholowe wykresy wydajności. Wszystko wyszło na jaw i nasz bohater musiał opuścić stanowisko szefa.

Spokojne sceny na granicy realizmu, pokazujące problemy ludzi radzieckich w wymiarze mniej lub bardziej groteskowym i absurdalnym, przechodzą niekiedy we fragmenty dynamiczne, w których bohaterowie pod wpływem silniejszych przeżyć dochodzą do rozważania nad podstawowymi prawdami egzystencjalnymi.

Spektakl ma również drugi wymiar. Podróż do Pietuszek jest dążeniem do ideału, niespełnionym marzeniem. Wieniczka przedstawia Pietuszki jako ciche miasteczko, gdzie czekają na niego kobieta i dziecko, które umie już pisać literę „W”, jak „Wolność”. Bohater mówi o tym z wielką tęsknotą, lecz w końcowych scenie, gdy myśli że Pietuszki są tuż tuż, drogę zagrażają mu aniołowie i oświadczają, że nigdy tam nie dojedzie. Okazuje się, że znów przejechał stację. Tak oto Wieniczka pozostaje sam...

Wieniedikt Jerofiejew: „Moskwa — Pietuszki”. Stowarzyszenie Teatralne „Teatr 77”. Adaptacja, scenografia i reżyseria: Jacek Zembruski. Obsada: Andrzej Podgórski, Teresa Radzikowska-Binkowska, Wojciech Drozdyński, Grzegorz Heromiński.

UROCZYSTE odsłonięcie i poświęcenie w kościele parafialnym w Chodul tablicy pamiątkowej ku czci trzech „Cichociemnych” oficerów Armii Krajowej skłania do przypomnienia pozostałych, ponad dwudziestu, oficerów i podoficerów Dywersji i innych konspiracyjnych służb specjalnych tej elitarniej grupy, wybranej spośród 316 ludzi, świetnie wyszkolonych i przygotowanych do najtrudniejszych form służby w Armii Podziemnej, których rozkaz — a czasem los — rzucił na slonię Lubelszczyzny w latach II Wojny Światowej.

TWORCAMI idei przetrzutu odpowiednio do celów walki konspiracyjnej przeszkolonych oficerów drogą powietrzną z Wielkiej Brytanii do Kraju byli dwaj młodzi oficerowie: kpt. dypl. Maciej Kalenkiewicz i kpt. Jan Górski. Pierwszy z nich, zastępca mjr. „Hubala” — Henryka Dobrzańskiego w okresie jego bojów w górach Świętokrzyskich — przedostał się drogą lądową do Francji jeszcze zimą 1939 roku. Z pierwszym raportem w sprawie przetrzutu wystąpił do Naczelnego Wodza, gen. Władysława Sikorskiego, kpt. Górski w początkach lutego 1940 r., a więc w okresie, kiedy jedyną formą łączności z Krajem była droga lądowa kurierów, trwająca niekiedy całymi tygodniami, trudna i niebezpieczna.

Inicjatywę Górskiego i Kalenkiewicza poparł całą duszą kpt. dypl. Jan Jąźwiński, który w sztabie gen. Sosnkowskiego — decyzją Nacz. Wodza mianowany komendantem Sił Zbrojnych w Kraju (ZWZ) — był odpowiedzialny za łączność (kurierską) z Krajem. Ale na tym etapie opór wyższych szczebli sztabowych stanowił trudność nie do pokonania.

Dopiero po klęsce Francji i przeniesieniu znacznej części ocalałych z niemieckiego pogromu oddziałów polskich, jak również Władz Naczelnych Rzeczypospolitej, do Anglii, sprawa zaczęła nabierać tempa i pierwszy kurs przeszkolenia spadochronowego oraz dywersyjnego dla grupy 12 oficerów rozpoczął się w styczniu 1941 r. w Briggens pod Londynem, w ośrodku szkoleniowym SOE (Special Operation Executive — brytyjskie Kierownictwo Operacji Specjalnych).

Z tej dwunastki dwóch tylko wyładowało w Kraju. Byli to: ppor. Jan Piwnik — „Ponury” i ppor. Franciszek Pukacki — „Gzys”. Z drugiej grupy 15 szkolonych oficerów aż dziewięciu dostąpiło trudnego zaszczytu dołączenia w przyszłości do swego służbowego stopnia dwóch liter: „CC” — najszlachetniejszego tytułu wojskowego w historii Polskich Sił Zbrojnych.

Pierwszy, próbny zrzut dokonany został w nocy z 15 na 16 lutego 1941 r. z samolotu bombowego typu „Whitley” — w późniejszym okresie używano przeważnie „Halifaxów”. Błąd nawigacyjny brytyjskiego oficera (F9L. F. Keast), który operacją dowodził, spowodował skok trzech spadochroniarzy (2 „Cichociemnych”: mjr Stanisław Krzymowski ps. „Kostka”, rtm. Józef Zabielski ps. „Żbik” i jeden kurier do Delegata Rządu na Kraj, bomb. Czesław Raczkowski) w stosunkowo dużym rozrzucie i w znacznej odległości od planowanej placówki odbiorczej, już na terenie włączonym do Rzeszy, koło Dębowa w okolicy Skoczowa w pow. cieszyńskim. Obaj „Cichociemni” przedostali się oddzielnie na teren Generalnej Guberni — wpadł natomiast na granicy kurier Raczkowski, ale udało mu się wykreśćić, pozorując... przemysłownika. Skończyło się na krótkim pobycie w więzieniu, z którego został wydobyty za łapówką. Przepadły natomiast z sobnikami.

Niepowodzenie — względnie co prawda — operacji „O” („Adolphus”) spowodowało konieczność usprawnienia łączności „ziemia — samolot” i lepszego oznakowania placówki odbiorczej. Zbliżająca się wiosna, a potem krótkie, letnie noce były przyczyną, iż kolejny zrzut, tym razem dowodzony przez kpt. naw. Stanisława Króla (operacja „Ruction”) odbył się dopiero z 7 na 8 listopada 1941 r. Wyładowało tym razem znowu 2 „Cichociemnych”: por. Jan Piwnik („Ponury”), „Donat”), kpt. Niemir Bidziński („Karol Ziege”) i jeden kurier do Delegatury Rządu, ppor. Napoleon Segiera.

Pomimo wyjątkowo trudnych warunków atmosferycznych operacja przebiegała sprawnie: skoczków przyjął placówka „Ugor” 20 km na zachód od Skiernewic. Uszkodzenie podwozia, wysuniętego na czas skoku dla zredukowania prędkości samolotu, spowodowało znaczne zwolnienie szybkości maszyny w drodze powrotnej i zwiększone zużycie paliwa, co skłoniło kpt. Króla do skierowania się nad terytorium neutralnej Szwecji. Tu samolot wyładował bezkolizyjnie, załoga podpaliła maszynę i zgłosiła się do władz miejscowych. Internowani — po kilku tygodniach znaleźli się z powrotem w Wielkiej Brytanii.

Operacja ta zainicjowała sezon zrzutowy, zakodowany kryptonimem „Intonacja”, który był kontynuowany. Nie sposób w tym miejscu wycisnąć wszystkich kolejnych operacji — ograniczyć się jedynie do tych, w których skok wykonywali „Cichociemni”, skierowani następnie bezpośrednio lub pośrednio na teren Okręgu Lubelskiego Armii Krajowej.

LIŚTE tę otwiera **TADEUSZ MARIAN KLIMOWSKI**, porucznik rezerwy piechoty, ps. „Klon”, „Ostoja”. W kampanii wrześniowej był dowódcą kompanii Straży Granicznej. Następnie internowany na Węgrzech, zbiegł z obozu i przedostał się do Francji. Tu wstąpił do wojska polskiego i po kapitulacji armii francuskiej przedostał się do Wielkiej Brytanii, gdzie początkowo służył w 4 Brygadzie Kadrowej Strzelców (4 BKS), a następnie przeniesiony został jako ochotnik do Samodzielnej Brygady Spadochronowej gen. Stanisława Sosabowskiego, zasłużonego pioniera i ordowownika idei powrotu do Kraju „najkrótszą drogą”.

Po przeszkoleniu w dywersji por. Klimowski skoczył do Kraju w nocy z 6 na 7 stycznia 1942 r. w ekipie nr 3, o kryptonimie „Shirt”. Placówka odbioru („Kociol”) była zaplanowana w okolicy Mińska Mazowieckiego — około 11 km na południowy wschód od miasta. Nieoczekiwane przemieszczenie się w ten rejon większej jednostki Wehrmachtu uniemożliwiło obsadzenie placówki i nawiązanie łączności świetlnej z samolotem.

Dowódca operacji, por. naw. Mariusz Wodzicki, zdecydował wykonać zrzut „na dziko”, 4 km bliżej miasta, koło wsi Stefanówka. Zrzut wykonany z małej wysokości spowodował potłuczenie skoczków, którzy w tym stanie i bez pomocy załogi placówki nie byli w stanie ukryć zasobników. Przez punkt kontaktowy w Cegłowie dotarli do stacji kolejowej i najbliższym pociągiem, całą szóstką, odjechali do Warszawy bez szczególnych trudności.

Po niezbędnej „aklimatyzacji” w stolicy por. Klimowski skierowany został do org. „Wachlarz” (wywiad i dywersja na tyłach frontu wschodniego) na stanowisko zastępcy dowódcy II odcinka, potem zaś dowódcy tego odcinka i — czasowo — dowódcy odcinka I.

Po likwidacji „Wachlarza” w styczniu 1943 przeniesiony został do Okręgu Wołyńskiego AK na stanowisko komendanta Inspektoratu Rejonowego Równie. Jesienią 1943 awansowany na stanowisko szefa III Oddziału Sztabu Okręgu. W lutym 1944, kiedy — wobec zbliżania się wojsk sowieckich do ziem Rzeczypospolitej — zapadała decyzja przygotowania akcji „Burza” i — w związku z tym — z luźnych oddziałów partyzanckich zaczęto formowanie 27 Dywizji Piechoty Armii Krajowej (zwanej najczęściej Dywizją Wołyńską), por. Klimowski objął stanowisko oficera operacyjnego Dywizji, a w maju obowiązki szefa jej sztabu.

W początkach czerwca 1944 decyzją Komendy Głównej AK znaczna część dywizji przeszła na lewy brzeg Bugu, podporządkowana Komendzie Okręgu Lubelskiego AK. Ranny podczas przeprawy, pełnił mimo to swoje obowiązki aż do rozbrojenia (25—27.07.44) przez Armię Czerwoną, po czym zdołał jeszcze przedostać się do Warszawy. W czasie Powstania pełnił początkowo funkcję zastępcy dowódcy batalionu „IWO” w Śródmieściu południowym, we wrześniu objął dowództwo baonu „Ostoja”. Po kapitulacji przebywał w niewoli niemieckiej, potem w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie ukończył kurs Wyższej Szkoły Wojennej w stopniu majora dypl.

Odnaczony Krzyżem Srebrnym Orderu „Wirtuti Militari” i dwukrotnie Krzyżem Walecznych — zmarł w Londynie w 1981 r. w wieku lat 70.

„CICHOCciemni” NA LUBELSZCZYŻNIE

Wojciech Kozłowski-„Tomek”

WKOLEJNEJ ekipie spadochronowej (IV) w operacji „Collar” w nocy z 3 na 4 marca 1942 skakał do Kraju por. piech. **FRANCISZEK KONSTANTY PUKACKI**, oficer zawodowy 60 pułku piechoty, w kampanii wrześniowej dowódca IV kompanii. Ranny w obronie Warszawy, w krótkim czasie przekradł się przez „zieloną granicę” przez Węgry do Francji i zameldował się do służby czynnej. Po klęsce przedostał się do Anglii i tam wcielony został początkowo do 4 BKS, a następnie do SBS oad. Przeszkolony w dywersji.

Po wyładowaniu — 3/4 III 42 — na placówce „Pole”, kilka km na północny zachód od Wyszkowa w pow. pultuskim, przedostał się z pozostałymi 5 towarzyszami do Warszawy. I ta operacja nie przebiegała gładko. Po raz pierwszy samolot ze spadochroniarzami wystartował z Anglii 25 lutego i po przybyciu nad miejsce zrzutu nie odnalazł placówki. Ponowna próba podjęta została w dniu następnym, ale wobec oblodzenia maszyny i przestrzelenia silnika przez niemiecką artylerię p-lotn. musiał zawrócić do bazy. Trzecia próba — w ocenie kierownictwa odbioru zrzutów (kryptonim „Syrana”) — zaśluziła na ocenę wzorowej. Rozrzut skoczków nie przekroczył 600 m.

Por. Pukacki przyjął pseudonim „Gzys”. Otrzymał przydział również do „Wachlarza” — Odcinek II, na stanowisko dowódcy zgrupowania patroli dywersyjnych, potem awansowany na stanowisko dowódcy ośrodka dywersyjnego w Szepietówce. W lipcu 1943 sformował w Inspektoracie Równie oddział partyzancki „Gzys”, który do lutego 1944 rozrósł się do stanu osobowego batalionu. Przy organizacji 27 DP stanął on I baon 45 pułku piechoty AK.

Dalsze koleje „Gzysa” i jego baonu są kolejami 27 DP: przejście w walkach na lewy brzeg Bugu, podporządkowanie Komendzie Okręgu Lubelskiego i — w końcu lipca — rozbrojenie przez Armię Czerwoną. W październiku 1944 wywieziony do ZSRR (Kaługa), powrócił do Kraju w roku 1947. W czasie pobytu w niewoli sowieckiej dał się poznać wśród kolegów i współtowarzyszy jako nader twardy i nieugięty oficer, będący dla starszych i słabszych dużą pomocą i oparciem. Uzdolniony plastycznie, wykonywał szereg rysunków i szkiców portretowych, zachował się jego znakomity portret gen. Kazimierza Tumidańskiego („Marcina”), Komendanta Okręgu Lubelskiego AK,

zamordowanego przy „sztucznym kamieniu” w Dia-giewiewie w 1946 r.

Odnaczony dwukrotnie Krzyżem Srebrnym „Wirtuti Militari”, trzykrotnie Krzyżem Walecznych oraz Złotym i Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami, Pukacki zmarł w Kraju w 1980 r. w wieku lat 64. Pośmiertnie awansowany do stopnia majora.

ODMIENNE zgoła kształtowały się losy następnego z kolei „Cichociemnego”, który wcześniej już sobie na ten zaszczytny tytuł zasłużył, położył poważne zasługi w formowaniu się Służby Zwycięstwu Polski i Związku Walki Zbrojnej w Lubelskim.

Chodzi tu o pułkownika **JÓZEFA SPYCHALSKIEGO**. Ten zawodowy oficer piechoty, urodzony w 1898 r., od lat młodzięcych był uczestnikiem walk niepodległościowych (1916—1920), za które uhonorowany został Krzyżem Niepodległości z Mieczami, najwyższym w Rzeczypospolitej odznaczeniem, przewidzianym za tego rodzaju zasługi.

W kampanii wrześniowej dowodził baonem stołecznym w obronie Warszawy. Do służby konspiracyjnej wstąpił już w ostatnich dniach września 1939 r., zaprzysiężony przez gen. „Torwida” — Michała Karaszewicza-Tokarzewskiego, twórcę i organizatora pierwszych struktur wojskowych w konspiracji. Pierwszym przydziałem ptk. Spychalskiego „Stryjka” (używał w tym czasie także innych pseudonimów: „Socha”, „Soroka”, „Czarny”) było stanowisko p.o. komendanta Okręgu Lubelskiego SZP — później ZWZ. Funkcję tę pełnił do września 1940 r., kiedy to rozkazem gen. „Grot” — Roweckiego przeniesiony został na analogiczne stanowisko na teren okupa-

cji sowieckiej — do Białegostoku (Obszar nr 2, wg ówczesnej nomenklatury).

17 listopada (inne źródła podają datę zbliżoną: 16.11.1940 i 21.11.1940) aresztowany został przez organa NKWD w miejscowości Morusy koło Tykocina. Więziony był do sierpnia 1941, kiedy to — w wyniku umowy Sikorski — Majski — objęty został „amnestią” i mógł zameldować się u gen. Władysława Andersa w formującym się właśnie przyszłym 2-gim Korpusie w ZSRR.

Do grudnia 1941 pełnił różne funkcje sztabowe, w grudniu rozkazem Naczelnego Wodza skierowany został do Anglii, pozostając bez przydziału („w dyspozycji NW”). Po odbyciu w tym czasie przeszkolenia spadochronowego (miał już wtedy lat 44) w nocy z 30 na 31 III 1942 skoczył do Kraju jako oficer łącznikowy Naczelnego Wodza do Komendanta Głównego Armii Krajowej (był nim już podówczas gen. „Grot”).

Przypuszczać można, iż fakt, że był blisko spokrewniony (brat przyrodni) z działaczem PPR, Marianem Spychalskim, stał się powodem, że przez kilka miesięcy pozostawał w Kraju bez jednoznacznie określonej funkcji — dopiero w listopadzie 1942 r., a więc po ośmiu miesiącach, odkomenderowany został do Krakowa na stanowisko Komendanta Okręgu AK. Używał w tym czasie licznych pseudonimów („w górę” i „w dół”): „Grudzień”, „Taran”, „Luty”, „Lawina”, „Jurand”, „Włost”.

Aresztowany 24 marca 1944 w Krakowie w swoim lokalu konspiracyjnym przy ulicy Dietla 32 (prawdopodobnie w wyniku zdrady — innych aresztowań w związku z jego sprawą nie było!). Po ostrym śledztwie w krakowskim gestapo, zesłany został do Koncentracjonalnego Lager Sachsenhausen, gdzie w sierpniu 1944, po wybuchu powstania warszawskiego, został zgładzony w niewyjaśnionych w szczegółach okolicznościach.

Za pewnik przyjąć można, że był — podobnie jak „Grot” — Rowecki — przedmiotem usiłowań niemieckich nakłonienia go do współpracy, firmowania powołania polskich formacji w służbie niemieckiej do walki z wkraczającą na tereny Polski Armią Czerwoną. W nadziejach niemieckich nazwisko jego; i stopień funkcjonalny mogły stanowić wysokiej wartości „argument propagandowy” — postawa ptk. „Juranda” zawiadła te nadzieje całkowicie. Grób jego pozostał nieznanym. Nie jest też pewnym, czy w Sachsenhausen był konfrontowany z gen. „Grotem”.

Odnaczony był — poza Krzyżem Niepodległości z Mieczami — Krzyżem Złotym i Srebrnym Orderu „Wirtuti Militari”, Krzyżem Walecznych i Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami. Okres, w którym był komendantem Krakowskiego Okręgu AK, zaznaczył się szczególnie na odcinku rozbudowy oddziałów dywersyjnych w tym Okręgu (notabene nie bez udziału licznych „Cichociemnych”, którzy byli tam odkomenderowywani). Te sprawy wykraczają już znacznie poza ramy niniejszego opracowania.

(Koniec odcinka 1. — edn.)

ZAPRASZAMY NA KIERMASZ

Świąteczno-noworoczny

sprzętu audio-video i radiowego

W SALONIE WYSTAWOWYM

INFOSERVICE

Lublin, ul. Nadbystrzycka 25
od dnia 13 XII 1989 do 30 XII 1989

W GODZ. 10 - 18

10083/K

INFORMATOR KULTURALNY

TEATRY

W LUBLINIE
Teatr im. J. Osterwy: 14-15.12 godz. 11, 16.12 godz. 18, 17.12 godz. 11, 18, 19.12 godz. 18, 20.12 godz. 11:
„Galazka rozmarynu” Zygmunta Nowakowskiego; reż. Roman Kordziński.
Teatr Lalki i Aktora: 14-15.12 godz. 10, 12; „Ural Hator”, baśń baszkirska, reż. Włodzimierz Felenczak.
Teatr Muzyczny (Dom Kultury Kolejarza) — 14.12, 19.12 godz. 19: „Haron cygański” J. Straussa; 17.12 — występy gościnne w Rzeszowie.

MUZYKA

W LUBLINIE
Filharmonia — 15.12 godz. 19 — koncert z okazji 45-lecia Państwowej Filharmonii Lubelskiej; 16.12 godz. 18 — koncert jubileuszowy (zaproszenia). W programie koncercyjny: „Halka” Stanisława Moniuszki (wykonanie estradowe). Wykonawcy: Orkiestra PFL i chór „Echo” pod dyrekcją Adama Natanka. Soliści: Barbara Zagorzanka — sopran, Danuta Damińska — sopran, Józef Przeształski — tenor, Andrzej Hiołski — baryton, Jerzy Ostapiuk — bas. Narrator — Bogusław Kaczyński.

WYSTAWY

W LUBLINIE
Muzeum im. J. Czechowicza — wystawa linorytu Stanisława Hodygi.
Muzeum na Zamku — wystawa poświęcona 50 rocznicy Września pt. „Broni i barwa Wojska Polskiego” w roku 1939”.
Galeria BWA (ul. Narutowicza 4) — wystawa grafiki Zofii Kopel-Szule i Henryka Szulca (czytna do 16.12).

Galeria Grodzka (ul. Grodzka 5a) — wystawa malarstwa i instalacji Krzysztofa Rumowskiego pt. „Obrazy”.
Galeria TPSP (ul. Grodzka 32/34) — wystawa malarstwa Jana Popka.
Archiwum Państwowe (ul. Trybunalska 13) — wystawa pt. „Lubelski Wrzesień 1939 r. — Społeczeństwo, Wojna, Okupanci”.
Dworek Wincentego Pola — wystawa pt. „Wincenty Pol i Ludwik Zejsner — pierwsi profesorowie nauk o Ziemi Uniwersytetu Jagiellońskiego”.
Biblioteka Główna UMCS — Muzeum — wystawa pt. „Rewolucja Francuska 1789-1989”.
W CHELMIE
Muzeum Okręgowe (ul. Lubelska 57) — wystawa pt. „Jacwież i Litwa w okresie starożytnym i we wczesnym Sredniowieczu” (ze zbiorów Państwowego Muzeum Archeologicznego w Warszawie).

W ZAMOŚCIU
Nowa Siedziba Muzeum Okręgowego (Kamienice Ormiańskie 26/28) — wystawa pt. „Ocalone dla przyszłości”, wystawa pt. „Zamość — Historia renowacji”.

KOMUNIKAT

W związku ze znaczną podwyżką ceny papieru od 1 grudnia br. zmuszeni jesteśmy podnieść cenę tygodnika „Relacje” od bieżącego numeru do 350 zł.

LUBELSKIE
WYDAWNICTWO PRASOWE

Z ŻYCIORYSU LUBLINA

Zygmunt Mikulski

STALÉ dyżurujący przy beletryzowaniu przeszłości Lublina i okolic, Longin Jan Okoń („Legends chełmskie”, „Opowieści niedźwiedziego grodu”, „Niezwykłe dzieje pięknej Anny”) zadokumentował swoją obecność zbiorem opowiadań „Miłość silniejsza niż śmierć” (KAW. Lublin 1988).

Tym razem Lublina mamy dziewięć wieków. „Jesień 1077 roku była cudowna. Sucha i bezwietrzna. Puszcza, ubarwiona wszystkimi odcieniami żółci i czerwieni, wyglądała jak kraina z baśni. Ptaki syte dostatkami wdzięczyły się śpiewem. W szuwarach nad szeroko rozlaną Bystrzycą odzywał się chór żab”.

To pierwsze zdania „Miłości”, więc w ten sposób nawiązaliśmy kontakt z naszym miastem sprzed ponad 900 lat. W jego wydarzeniach towarzyszymy mu dalej, bo całość jest ujęta chronologicznie i uwzględnia szczególniejsze momenty jego życiorysu. A więc najazd Tatarów zimą 1287-88 roku, zawiązanie konfederacji barskiej w 1768 roku, wreszcie 24 lipca 1944 roku, kiedy ogłoszono w Lublinie komunikat o wyzwoleniu miasta.

Dziewięć wieków, osiem opowiadań, tak więc w sprawie pełnej wiedzy historycznej do Okonia nie można odesłać. Można natomiast — po smak przeszłości, która w ten sposób znajduje się od nas jakże niedaleko.

Czwartek, Czarniejówka, podznacze — dziwnie spotykać się z nazwami, które zrosły się z naszymi, czytelników, doświadczeniem i zdawaloby się, że są związane tylko z naszą teraźniejszością. Tymczasem ten nasz autentyczny jest wmontowany w twórczo pisarskie, autentykiem być nie przestając.

Cóż, Lublin wprawdzie prawa miejskie otrzymał „dopiero” w roku 1317, ale wiadomo, że już w dwunastym wieku znajdował się tu gród na szlaku komunikacyjnym prowadzącym z Rusi. Okoń wspinałomyślnie przesunął genealogię miasta, sięgając w przeszłość jeszcze głębiej. Czyli — czujmy się wzbogaceni.

Zachodzi jednak kwestia stosunku fikcji literackiej do historycznej prawdy. No bo dobrze: najazd Tatarów był, nawet było najazdów kilka, także Rusinów i Jaćwingów, ale skąd Okoń wie, co mianowicie ta Dumia czuła do tego Gniewosza i w jaki sposób to czucie się wyraziło? Cóż, skoro jest licentia poetica, niech będzie i licentia prosaica (utworzymy ten neologizm), a czy wszystkie portrety pisarskie osób historycznych zgadzają się ze swymi modelami?

Jeremi Wisniowiecki jakim jest apostołem patriotyzmu w „Ogniem i mieczem”? A według przekazów historycznych, był to sobie całym balastem sarmackości obciążony magnat, który musiał odrębnie występować w obronie swoich majątków na Ukrainie, bo mu Kozacy nieustannie robili rebelle i grabież. A także: możemy uwierzyć, że był sobie taki Powala z Tczewa, który (znowu Sienkiewicz, tym razem „Krzyżacy”) moślony tasak potrafił zwinąć w trąbkę?

Nie byłbym też (pierwsza osoba liczby pojedynczej, bo to sąd prywatny) skłonny dać wiarę Karolowi Mayowi, który z Indian, narodu znajdującego się w prymitywnych warunkach cywilizacyjnych, zmuszonego do walki z przeciwnościami natury, w swych praktykach religijno-obyczajowych mających nawet ofiary, z takich ludzi uczynił dzentelmenów prerii, herosów moralności, jakże przewyższających szlachetnością „białe twarze” ewangiackich miłganców „zgnitego Wschodu”.

Ale to już sprawa na seminarium. Tu odnotujemy, że posiadacz Orderu Uśmiechu dał swym młodym czytelnikom następną rzecz do czytania. Odnotujemy z uznaniem. Z mniejszym natomiast dla drukarni, która wypuściła książkę z brakiem 8 kartek, a także dla korekty, która na str. 163 przyrzędziła nam „wędzankę”. A taką mieliśmy ochotę na wędzonkę.

OGŁOSZENIA DROBNE

KOZUCHY, odzież skórzana — renowacja. Lublin, Miła 10. 23350/G-10

NAUKA

LINGWISTA organizuje naukę języka węgierskiego, angielskiego i niemieckiego dla wyjeżdżających za granicę. Informacje i zapisy Lublin, ul. Strażacka 5, tel. 274-25. 29916/G-4

MATEMATYKA. 71- 86-10. 29064/G

OSWIATA w Lublinie organizuje kursy spawania elektrycznego i gazowego na uprawnienia dozoruowe Rs, Bs, w osłonie CO₂, w osłonie argonu, przygotowujące do zawodu w branży budowlanej, dziewiarskiej, krawieckiej, kosmetycznej, aerobik oraz inne w miarę potrzeby. Informacje i zapisy, ul. Strażacka 5, tel. 274-25 w godz. 8-15. 29916/G-4

SPRZEDAŻ

PUSTAKI stropowe Teriva, rury, kształtki wod.-kan. Lublin, tel. 71-83-18. 30139/G

relacje



20-029 LUBLIN, UL. M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ 2
20-950 LUBLIN, SKR. POCZT. 231



215-67 • SEKRETARIAT RED. NACZELNY
205-34 • SEKRETARZE REDAKCJI
202-61 • 208-59 • 233-88 • DZIENNIKARZE



Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”.



Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.

Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach. Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udziela oddział Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch” i urzędy pocztowe. Nr indeksu: 37409 PL ISSN 0660-8830.

CZWARTEK

14 GRUDNIA

PROGRAM I

8.35 Domator: Nasza poczta; Ciasta i ciasteczka
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Policjanci z Miami” — serial krym. prod. USA
10.10 Domator: Przy herbatce
16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: Kwant oraz film z serii: „Świat, w którym żyjemy”
17.15 Teleexpress
17.30 Ułańska tradycja — wojskowy program historyczny
17.55 „Poza rok 2000” — film dok. prod. australijskiej
18.25 Magazyn katolicki
19.00 Dobranoc: Dwa kosy i kurek z ratuszowej wieży
19.10 Interpelacje (1)
19.30 Wiadomości
20.05 „Policjanci z Miami” — „Pewny interes” — serial krym. prod. USA
20.55 Interpelacje (2)
21.30 Sport
21.45 Pegaz — magazyn aktualności kulturalnych
22.30 Sadie Nine — recital piosenkarzy
23.00 Dt — echa dnia
23.15—23.45 Język angielski (39)

PROGRAM II

16.55 Język rosyjski (9)
17.25 Program dnia
17.30 Psychostudio
18.00 Program lokalny
18.30 Program public.
19.00 Magazyn „102”
19.30 Studio sport: Puchar Europy w koszykówce męzczyzn: Lech (Poznań) — Macabi (Tel Aviv)
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio Teatralne „Dwójki”: Fiodor Dostojewski — „Raskolnikow”. Reż. Marek Gaj. Wyk.: Marek Kalita; Edward Zentara
22.45—22.50 Komentarz dnia

PIĄTEK

15 GRUDNIA

PROGRAM I

8.35 Domator: Nasza poczta; Ciasta i ciasteczka
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Tajga” — film fab. prod. ZSRR
10.10 Domator: Szkoła dla rodziców
16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: Rambat — teleturniej
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego
17.15 Teleexpress
17.30 Program public.
17.55 Kopalnia „Wujek” — program dok.
18.25 Rzeczpospolita samorządna — program public.
18.45 Weekend w „Jedynce”
19.00 Dobranoc: Węgierskie bajeczki
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy
19.30 Wiadomości
20.05 Akademia filmowa: „Arszenik i stare koronki” — komedia krym. prod. USA
22.00 Sport
22.10 Kontrapunkt
22.40 „Kwadratura koła” — film prod. BBC. Reż. Mike Hodges
0.20—0.35 Dt — echa dnia

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.35 Wrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 Program lokalny
18.30 Przesłuchanie do la tach — reportaż

18.50 Za chwilę dalszy ciąg programu — program Wojciecha Manna i Krzysztofa Martyny

19.30 Dookoła świata: Nad Sudanem
20.00 Studio sport: Finał Pucharu Davisa, RFN — Szwecja
21.30 Panorama dnia
22.00 Kino Antypodów: „Z dnia na dzień” — film fab. prod. australijskiej. Reż. John Dulgan. Wyk.: Kim Krejusz, Sonla Peat, Ion Gilmour. Sergio Frazzetto
23.35—23.40 Komentarz dnia

SOBOTA

16 GRUDNIA

PROGRAM I

8.00 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny
8.55 Program dnia
9.00 Drops — magazyn dla dzieci i młodzieży oraz „Jelonek” (6) — serial prod. jugosł.
10.30 Dt
10.40 Filmowe podróże po świecie: „Cesarz” — film dok. Romana Dobrzyńskiego
11.25 Zdrowie — magazyn wojskowy
12.00 Laboratorium: Szansa
12.30 Telewizyjny koncert życzeń
13.00 Prezydenci
13.30 Telewizyjny Teatr Prozy: Jarosław Iwaszkiewicz — „Opowiadanie z kotem”. Reż. Krzysztof Rogulski. Wyk.: Mieczysław Voit, Ewa Decówna, Jerzy Kryszak, Marta Ławińska, Grzegorz Wons i inni
14.10 Życ — magazyn ekologiczny
14.30 Program public.
15.15 Filmy o miłości „Dobrze jest, do jutra” — film prod. pol.
16.40 Flesz — magazyn muzyki rozrywkowej
17.15 Teleexpress
17.30 Próba zapisu — program dokument.
18.10 Piwnica pod Baranami (1)
18.30 Butak
19.00 Dobranoc: Przygody Misia Colargóla
19.10 Z kamerą wśród zwierząt: SOS dla fauny Madagaskaru
19.30 Wiadomości
20.05 „Pół żartem, pół serio” — film fab. prod. USA. Reż. Billy Wilder. Wyk.: Marilyn Monroe, Jack Lemmon, Tony Curtis, George Raft i inni.
22:05 Sport
22.25 Tydzień w polityce — komentuje Karol Szyndzielorz
22.35 Piwnica pod Baranami (2)
23.20 Telegazeta i jutro w programie
23.30—1.00 Kino sensacji: „Szybki jak błyskawica” — film prod. franc.

PROGRAM II

13.45 Konkurs 5 milionów — współzawodnictwo sportowe szkół podstawowych
14.30 Bariery — problemy ludzi niepełnosprawnych
14.35 Wideoteka po francusku
15.00 Spekttrum — nowości nauki i techniki
15.15 Alcapel, czyli francuska telekomunikacja.
15.40 Meandry architektury: Ekstrawagancja po francusku
16.00 „TGV, czyli szybka kolej” — film dok. prod. franc.
16.10 „Ordy” — odc. pt. „Z Jacquesem Cousteau w głąb morza” — film animowany prod. japoń.
16.35 Ariane — projekt przyszłości
16.45 Tajemnice airbusa
16.55 Powitanie
17.00 Z batutą i z humorem
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
19.30 Studio sport: Puchar Davisa

19.30 Tajlandia — program public.

19.55 Filharmonia „Dwójki”: VI Symfonia Gustawa Mahlera pod batutą Jana Krenzla
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio sport: Puchar Davisa
22.15 „Bogate biedactwo, czyli historia życia Barbary Hutton” — odc. 6 — ostatni serialu prod. ang.
23.05 Jacek Stwora: „Co jest za tym murem?” (8) — „Tam, gdzie rzeka” — monodram w reż. Stefana Szlachtyca
23.20—23.25 Komentarz dnia

WIEDZIELA

17 GRUDNIA

PROGRAM I

8.55 Program dnia
9.00 Dla młodych widzów: Teleranek oraz „Janka” (13) — serial prod. pol.
10.30 Dt
10.35 „Jim Henson przedstawia świat teatru lalkowego”: „Spotkania z Brucem Schwarzem” — ostatni odc. filmu dok. prod. ang.
11.40 Morze — magazyn public.
12.00 Poranek symfoniczny WOSPRITV
13.00 Teatr Młodego Widza: Andrzej Maleszka — „Mechaniczna Magdalena” (2)
14.00 Telewizyjny koncert życzeń
14.45 Pieprz i wanilia — z wiatrem przez świat: Gdzie ananas dojrzewa

15.00 Podróż w czasie i przestrzeni: Wędrowki ludów nad Pacyfikiem (7) — serial dok. prod. australijskiej
16.00 Studio sport: Finał Pucharu Davisa
17.30 Blżej świata — przegląd telewizji satelitarnej
19.00 Wywiady Ireny Dziedzic
19.30 Galeria 37 milionów — Aleksander Roszkowski
20.00 Studio sport
21.00 Program muzyczny
21.30 Panorama dnia
21.45 „Wojna i pamięć” (16) — serial fab. prod. USA
22.45 Akademia wiersza
22.50—22.55 Komentarz dnia

PONIEDZIAŁEK

18 GRUDNIA

PROGRAM I

16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Luz — program nastolatków
17.15 Teleexpress
17.30 Gorące linie
17.55 Wędrowki dalekie i bliskie: „Tgipolitania” — film prod. UNESCO
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc: „Samochód kota Leopolda”
19.10 W Sejmie i Senacie
19.30 Wiadomości
20.05 Teatr Telewizyjny na świecie: Oskar Wilde — „Wachlarz lady Windermere”
22.05 Sport
22.15 Obok nas — rep.

16.50 Kino Tik-Taka: „Cudowna podróż” — serial animowany prod. austriackiej
17.15 Teleexpress
17.30 Spojrzenia
17.55 Klinika zdrowego człowieka (nerwica)
18.15 System
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc: „Przygody kotka Damiana”
19.10 Stop — mag. konsumentów
19.30 Wiadomości
20.15 „Oddajcie mi dziecko” (2 — ost.) — film prod. amerykańskiej
21.55 Listy o gospodarce
22.30 Sport — hokej
23.20 Dt — echa dnia
23.35 Język rosyjski (10)

PROGRAM II

16.55 Język angielski (40)
17.25 Program dnia
17.30 Klub ludzi z przeszłością
18.00 Program lokalny
18.30 Modlitwa wieczorna z sanktuarium Matki Boskiej Piekarskiej
18.50 Program publ.
19.30 Kolorowy zawrót głowy — mag. narciarski
20.00 Non stop kolor — magazyn
21.00 W kręgu sztuki: „Dzieje fotografii” (1) — serial dok. prod. ang.
21.30 Panorama dnia
21.55 Studio im. Karola Irzykowskiego: „Wigilia” — film prod. pol.
23.00 Komentarz dnia

ŚRODA

20 GRUDNIA

PROGRAM I

8.05 Przez lądy i morza — Oaza wśród lodów
8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Niespotykanie spokojny człowiek” — film TP
10.20 Domator
16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: Kameleon
16.50 Dla dzieci: Cojak — teleturniej
17.15 Teleexpress
17.30 Sensacje XX wieku
17.55 Telewizyjny Informator Wydawniczy
18.15 Dawniej niż wczoraj
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc: Porwanie Baltazara Gąbki
19.10 Oferty Pegaza
19.30 Wiadomości
20.05 Wojna i film: „Krajobraz po bitwie” — film prod. pol.; reż. Andrzej Wajda; wyk.: Daniel Olbrychski, Stanisława Celińska
21.50 Sport
22.00 Plus — minus — program publ.
22.30 Sprawa dla reportera
23.10 Dt — echa dnia
23.25 Język angielski (10)

PROGRAM II

16.55 Język francuski (2)
17.25 Program dnia
17.30 Galeria CIA (ciekawych inicjatyw artystycznych)
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 O znaczeniu rzeczy bez znaczenia — program o obyczajach wieczoru wigilijnego
19.00 „Hotel Zacisze” (9) — serial komediowy prod. ang.
19.30 Kenia — program dok.
20.00 Brawo — ze Zdzisławem Sierpińskim nie tylko o muzyce
20.40 Plener polski — rep. Dariusza Króla
21.00 Ze wszystkich stron — „Woda i śmierć” — rep. Ryszarda Bójko
21.30 Panorama dnia
21.50 „W labiryncie” (51) — serial TP
22.20 Telewizja nocą
23.05 Komentarz dnia

BIURO TURYSTYKI



POSIADA W CIĄGŁEJ SPRZEDAŻY IMPREZY DO:

CHIN, EGIPTU, IZRAELA, MAROKA, TAJLANDII, TUNEZJI ORAZ NEPAL-INDIE-PAKISTAN.

PLANOWANE SĄ RÓWNIEŻ IMPREZY DO KENII, INDOEZJI, NA MADAGASKAR A TAKŻE PODRÓŻ DOOKOŁA ŚWIATA

Zapisy i informacje: Lublin, ul. Mokłowska 15, tel. 712496, a od 1 stycznia 1990r. Lublin, ul. Baranowska 4, tel. 775451

10108/K-2

15.25 Antena
15.35 „Panna dziedziczka” (31) — serial fab. prod. brazyl.
17.15 Teleexpress
17.30 Telewizyjny Teatr Romaitości: Jana Dudkówna — „Arabeski”. Reż. Paweł Harsza. Wyk.: V. Postrannecky, V. Preiss, V. Jenikova
18.35 Agromarket — aktualności gospodarki rolno-spożywczej
19.00 Wieczorynka: Siostrzeńcy Kaczora Donalda
19.30 Wiadomości
20.05 „Dekalog, dwa” — film fab. TVP, reż. K. Kieślowski
21.05 „Memento grudniowe” — film dok. Ireneusza Englera
21.50 Siedem dni: Świat
22.20 Sport
23.00 Telegazeta

PROGRAM II

9.15 Przegląd tygodnia (dla niesłyszących)
9.50 Film dla niesłyszących: „Dekalog, dwa” — film fab. TVP
10.50 Krótkofalowcy — wojskowy program public.
11.20 Lokalny program życzeń
11.45 Jutro poniedziałek — magazyn spraw codziennych
12.15 Powitanie
12.20 Polska Kronika Filmowa
12.30 100 pytań do...
13.10 „Polacy” — film dok.
14.00 „Chata wuja Toma” (2) — film fab. prod. USA

22.35 Wódko, pozwól żyć...
23.05 Dt — echa dnia
23.25 Język francuski

PROGRAM II

16.55 Język angielski (10)
17.25 Program dnia
17.30 Antena Dwójki na najbliższy tydzień
17.45 Ojczyzna — polszczyzna: o Nowym i Starym Sączu
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Czarno na białym — przegląd PKF
19.10 Auto moto fan klub
19.30 Życie muzyczne
19.30 Życie muzyczne: 70-lecie Opery Poznańskiej
20.00 „Cicha woda” i inne piosenki z lat 50 — koncert
21.30 Panorama dnia
21.45 Biografie: „Rubens — malarz i dyplomata” (5 — ost.) — serial prod. belgijskiej
22.40 Komentarz dnia

WTOREK

19 GRUDNIA

PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Oddajcie mi dziecko” (2 — ost.) — film prod. amerykańskiej
11.00 Domator
16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Dla dzieci: Tik-Tak

AD VOCEM

(R)EWOLUCJA

EWOLUCJA to modne dzisiaj słowo. Określać ma ono przede wszystkim kierunek obecnych przemian, bo wprawdzie nie dla wszystkich jest jasne, ku czemu prowadzą, ale teoretycy i praktycy nowego porządku głoszą, że będą ewolucyjne. Dla starej gwardii (o ile znów się nie „odnowiła”) pachnie to jednak rewolucją, zwłaszcza że od samego Lenina wiadomo, iż najdalej nawet idące reformy rewolucji nie zastąpią.

Obydwa terminy (ewolucja i rewolucja) nie są zresztą od siebie tak bardzo odległe. Łączy je już wspólny źródłosłów, pochodzą bowiem od rzymskiego określenia na rozwijanie czytającego zwoju papirusowego. Rozwinięcie zwoju — to jego evolutio, przewinięcie (ponowne rozwinięcie) — to revolutio.

Są i dalsze analogie. Obie te postacie dziejowego rozwoju zakładają postęp: ewolucja to stopniowe przechodzenie do form bardziej złożonych i doskonalszych; rewolucja to wprowadzenie gwałtowne i nielegalne (wobec starego porządku), ale również postępowe (przynajmniej w teoretycznych założeniach oraz w przekonaniu samych twórców rewolucji) przejście do lepszego ustroju i nowej jakości życia.

Już Arystoteles rozumiał przez rewolucję przede wszystkim obalenie tyrantów; w taki też postępowo-rewolucyjny sposób odbyło się, wedle znanych nam nauk, przejście z formacji niewolniczej do feudalnej, a następnie do kapitalistycznej i socjalistycznej, o czym przypomniawszy niedawna 72 rocznica.

A co dalej? Wyższą ewolucyjną formą socjalizmu byłby komunizm, a skoro — jak niektórzy obecnie twierdzą — odwracamy się znów ku kapitalizmowi, to tak jakby ponownie przewinąć księgę, czyli — w rzymskiej terminologii — rewolucja. A czy przejście — ewolucyjne lub rewolucyjne — od socjalizmu do kapitalizmu jest przejściem do nowej, lepszego jakości, czy też powrotem do odrzuconej już raz przeszłości jako gorzka, minionej formacji?

Trudne problemy stają przed teoretykami ustroju i politologami. Okazuje się, że ciągle interpretowali tylko świat, a teraz znów go trzeba zmieniać. Co zrobić z bogatą literaturą, uzasadniającą niezłomność wyższości? Spalić książki nie da się (jak to wykazywały już próby z podreżnikami rosyjskiego), trzeba więc będzie w ramach ewolucji dokonać w nich rewolucji. Z zachowaniem jednak jednego dobrze znanego zdania: „Rewolucja rodzi się wtedy, gdy miliony ludzi dochodzą do wniosku, że nie można dłużej żyć jak dotąd”.

Arcus M.

GDYBY w PRL płacono za głupotę, to co trzeci obywatel byłby miliardem, Polska zaś drugim Kuwejtem. Na razie jednak sytuacja wygląda tak, że głupoty mamy pod dostatkiem (nie, tylko eksportować), a ludziom żyje się coraz biedniej.

Nigdy na przykład nie mogłem zrozumieć, dlaczego coś nie opłaca się dużej państwowej instytucji, a przynosi znaczne zyski małej prywatnej firmie. Mnie bowiem uczono, że im większy jest obrót, przy małym zysku jednostkowym, tym większe są dochody danego przedsiębiorstwa (a może się mylę?). Niestety, zasada ta nie znajduje potwierdzenia w naszej rzeczywistości od czasu ogłoszenia Manifestu PKWN, kiedy wprowadzono w życie ogólnospołeczną państwowo-monopolistyczną własność niszczą (określenie Michała Zielińskiego).

Oto kilka dni po usankcjonowaniu przez pocztę zbojczekich praktyk doty-

niał do czynienia z punktem skupu opakowań szklanych, nie będzie pytał o przyczyny takiego samopoczucia. Dość powiedzieć, że nawet butelki podzielone są na poszczególne strefy wpływów. Jedne przyjmują na Koziej, inne na Wroniej, a jeszcze inne w „Samie” na Rucie. Do klienta należy tylko zrobić właściwe rozpoznanie, objechawszy uprzednio połowę miasta. Z góry jednak uprzedzam, że „obraczkowanych” butelek nie przyjmują nigdzie, a w co bardziej pomysłowych sklepach życzą sobie zdrapywać nalepki, których niejednokrotnie i zębami nie ugryzie.

Lista podobnych idiotyzmów jest długa, że i na wołowej skórze by nie spisał, a w odpowiedzi na zarzuty zapewne znów usłyszę: NIE OPLACI SIĘ.

Ludzie kochani! Nie wiercie. Sprawdziłem w czterech przedsiębiorstwach, które prawie całą swoją produkcję rozlewają do opakowań szkla-

SZKLANA POGODA

Zbigniew Dzieciołek

czących kolportażu prasy (por. „Relacje” nr 45), telewizja podała wiadomość, że w Poznaniu powstała prywatna firma, która podejmie się dostarczać gazety do domów. 20 zł za dziennik, 25 zł za tygodnik. No i proszę! Po raz kolejny monopolista wypisał się na klienta, bo się nie opłaci (!?) a „maluch” zakaśał rękawy, wietrząc w tym dobry interes. Ponoć są rzeczy na niebie i ziemi...

Chwalić Pana grudzień mamy, święta za pasem, czas pomyśleć o choince i wigilijnym karpiu, a ja o poczcie rozprawiam, jakby nie było ciekawszych tematów na felieton. Czynię to jednak nie bez kozery, gdyż instytucja ta (proszę nie mylić z Poczta Polska z okresu II Rzeczypospolitej) jako żywo przypomina inny monopol państwowy, z którym toczą cotygodniowe boje, a po świętach zapewne wypowiem regularną wojnę.

Rzecz będzie o tak zwanych opakowaniach szklanych. Ilekroć żona wysyla mnie do sklepu z pustymi butelkami, zawsze przyjmuję to jako karę za wszystkie popełnione w ciągu tygodnia grzechy. Dlaczego? Chyba każdy, kto przynajmniej raz

stał przy wstępie do sklepu, wie, że w warunkach nieograniczonych praktycznie potrzeb przedsiębiorstw, mając zapewniony stały zbyt i niezły zysk, o nieopłacalności skupu butelek może powiedzieć albo idiota, albo cholera, który nauki ekonomiczne pobierał ostatecznie w Bukareszcie.

Pytam więc, gdzie jest ta nieopłacalność, która każe traktować klienta jak piątę koła u wozu?

W warunkach nieograniczonych praktycznie potrzeb przedsiębiorstw, mając zapewniony stały zbyt i niezły zysk, o nieopłacalności skupu butelek może powiedzieć albo idiota, albo cholera, który nauki ekonomiczne pobierał ostatecznie w Bukareszcie.

W Poznaniu powstała prywatna firma, dostarczająca gazety do domu...

stały pozarynkowo, a poza tym „palenie surowo wzbronione”.

Zapłaciliśmy. Pobraliśmy czek kasy, a w punkcie odeszliśmy od kasy.

A po odejściu od kasy nie należy wnosić reklamacji. Dlatego nie jest to reklamacja, lecz komentarz. Podobnie jak cały powyższy tekst — komentarz napisany wojskowo-urzędniczą stylistyką, tj. w punktach i ze stosownymi skrótami:

I. Kilogram papieru kosztuje 3500 złotych.

II. Prezes Spółdzielni Spożywców „Społem” w... i Kierownik Wydziału Handlu... w... są ludźmi wykształconymi oraz zdrowymi na umyśle (tak przynajmniej uważały stosowne instancje, udzielające im partyjnej rekomendacji na ww. stanowiska).

III. Termin „obrotu towarowy”, który występuje w tekstach ekonomii politycznej socjalizmu, ma znaczenie zbliżone do zapomnianego słowa „handel”. Różnica jest taka, że jak był handel, to na sklepie napisane było „Rzeźnik”, a w środku było mięso i właściciel, który siedział na stołku i pilnował interesu. W czasach „obrotu towarowego”, na sklepie napisane jest „Mięso”, a w środku jest rzeźnik. Siedzi ci on na interesie i pilnuje stołku. A w wolnych chwilach wywiesza inskrypcje.

Ps. Tekst ten w istocie dotyczy nie „handlu”, lecz języka. Dlatego niniejszym informuję Panów Autorów, iż rynek jest to miejsce, w którym dokonuje się transakcji kupna i sprzedaży. Ergo, „sprzedaż pozarynkowa” jest to coś takiego, eo w serialu „Polskie drogi” określone było przez Nieżydowski jako niemożliwe. Jako przykłady podawał on: „pieniądze bez wartości” albo „babę bez kuciapki”.

Pieniądzy bez wartości już mamy. Podobnie jak „obrotu towarowy” i „sprzedaż pozarynkowa”.

Historia znaczkami pisana

Z. Michalski

OTRZYMAŁEM list. Ofrankowany dwiema pocztowymi markami. Ponieważ nadawcą była (neutralna politycznie) instytucja wysyłająca całą masę korespondencji, mogę przepuszczać, iż znaczki dobrane zostały całkowicie przypadkowo. A były to:



AŻEBYM DOŻYŁ KIEDYŚ TEJ POCIECHY...

Michał Zieliński

TO straszne — powiedział mecenas N., z którym staliśmy w kolejce do kasy sklepu samoobsługowego LSS „Społem” nr... — „Literatura” — 350 zł. Kogo na to stać? Czyż nie 300 zł. Kogo na to stać? Czyż nie grozi nam zanik czytelnictwa i wtórny analfabetyzm?

— Nie ma obawy — odparłem i wskazałem na gustowne tableau zdobiące, niezbyt czystą, ścianę sklepu. A na rzeczoną tabelę znajdowały się następujące inskrypcje:

1. „Piwo sprzedajemy wyłącznie na wynos”.
2. „Pieczywo znajduje się w sprzedaży do 1. godz. przed zamknięciem sklepu”.
3. „Tłuszcze roślinne dostarcza Inspektorat Tłuszczów Roślinnych numer...”
4. „Towar sprzedajemy wg wagi netto”.
5. „Prosimy o pobieranie koszyków”.
6. „Weź czek kasowy”.
7. „Prezes Spółdzielni Spożywców «Społem» w... przyjmuje Obywateli w sprawach skarg i wniosków w... o godz...”
8. „Psów wprowadzać nie wolno”.
9. „Mleko sprzedajemy do godz. 11”.
10. „Osoby upoważnione do zakupu poza kolejnością proszone są o okazywanie ważnej legitymacji”.
11. „Piwo sprzedajemy od godz. 9”.
12. „Sklep upoważniony jest do sprzedaży pozarynkowej”.
13. „Pieczywo dostarcza piekarnia nr...”
14. „Książka skarg i wniosków znajduje się u Kierownika sklepu”.

18. „Mleko dostarcza OSM w...”.
19. „Pieczywo dotknięte uważa się za sprzedane”.
17. „Po odejściu od kasy reklamacji nie uwzględnia się”.
18. „Kierownik Wydziału Handlu, Usług i Drobnej Wytwórczości Urzędu Miejskiego w... przyjmuje Obywateli w sprawach skarg i wniosków w... o godz...”.
19. „Przyjmujemy zapłatę czekami PKO”.
20. „Ciastka i ciasteczka dostarcza piekarnia nr...”.
21. „Kierownik Wydziału Skarg i Wniosków Państwowej Inspekcji Handlowej w... przyjmuje Obywateli w... o godz...”.
22. „Palenie surowo wzbronione”.
23. „Polecamy mrożonki”.

Dotarliśmy z mecenasem N. do kasy, mając jednakowo wypełnione koszyczki. Znajdowały się w nich:

- a) ciasteczka bułki (dostarczone przez piekarnię nr...);
 - b) mleko pełnotłuste (na szczęście było przed 11), dostarczone przez OSM w...;
 - c) makaron jednojajeczny typu wstążka, odważony przez Panią Sprzedawczą wg wagi netto;
 - d) masło chłodnicze („polecamy mrożonki”).
- W naszych koszykach nie znajdowały się:
- a) tłuszcze roślinne (których nie dostarczył Inspektorat Tłuszczów Roślinnych nr...);
 - b) piwo (było to przed godz. 9);
 - c) papierosy (widocznie sprzedane zo-

W NUMERZE ŚWIĄTECZNYM OPUBLIKUJEMY:

- „Nazywano ich chrześcijanami” ● Po kołędzie ● A oni się Jezusem zasłaniają
- Kasia ciał Cyganów ● Rodzina polska ● Psia pamięć
- Zając w buraczkach ● Konceptje Sachsów ● Co się dzieje w Pradze? ● „Cichociemni” na Lubelszczyźnie
- Rząd polski, londyński.